



ישוע בן דוד מלך היהודים
ΙΗΣΟΥΣ ΝΑΖΩΙΟΥΣ ΒΑΣΙΛΕΥΣ ΙΟΥΔΑΙΩΝ
IESVS NAZARANVS REX IVDÆORVM

PRZYBITY Z MIŁOŚCI

Adres do korespondencji:

Łapiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca i Redaktor Naczelny:

Bartłomiej Jan Wojnarowski

Redaguje zespół w składzie:

Anna Małgorzata Gawlik (z-ca redaktora naczelnego ds. organizacji i zarządzania), Krzysztof Działlik (sekretarz redakcji)

Piotr Ulrich (sekretarz miesięcznika)

Michał Gójski, Dk. Mateusz Kopa, Kamil Mańka, Konrad Myszkowski, Michał Sadowski (szef działu kultura i społeczeństwo), Piotr Władysław Sudoł,

Współpracownicy:

Antonio Akmadża, Piotr Bogdanowicz, Wojciech Gałek, Nina Małgorzata Kogut, Szymon Kozieja, Marta Kozłowska, Piotr Krajski, Tomasz Kumiega, Mateusz Rezler, Bartłomiej Witeszczak i inni

Grafik główny i skład gazety: Tomasz Łukasik – tomasz.lukasik@adeste.eu

Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub: Maciej

Andrzej Laskowski - maciej.laskowski@adeste.eu

Webmasterzy strony www.adeste.eu: Tomasz Leszczyński, Tomasz Łukasik - it@adeste.eu

Wsparcie serwerowe: Norbert Bryłka

Rysownik i art-designer: Marcin Kozłowski

Media consulting: Mateusz Nieścierowicz

Dział korekty:

Zuzanna Sokalska (koordynator korekty), Anna Gawlik, Anna Warzecha, Magdalena Węglarz, Anna Królak.

Dział rozwoju i promocji:

Anna Piontek - szef działu rozwoju i promocji - promocja@adeste.eu,

Norbert Bryłka, Kamil Tokarski, Tomasz Łukasik, Tomasz Leszczyński, Marcin Kozłowski

Piotr Władysław Sudoł

Ponadto beta-testerzy i post-korekta oraz konsultacja teologiczna

A także każdy, kto modliwą, pomocą, wsparciem technicznym, finansowym czy organizacyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.

+AMDGI+

Wydawca: Bartłomiej Wojnarowski, Łapiguz 73, 22-400 Zamość, Lubelskie

Spis treści

Misterium w które nikt nie chce wierzyć Bartłomiej Witeszczyk	4
Pokuty małe i duże w życiu świętych XIX i XX wieku Ks. Dawid Tyborski	8
Chrystus – nowy Baranek paschalny Piotr Bogdanowicz	13
„Nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich.” Sebastian Filipek	15
CANON5 – o następach Piotra Kanonie Rzymskim Ireneusz Mercati	19
Stworzenie i Stwórca Piotr Sudoł	28
Męczennicy z Peru Krzysztof Dziatlik	32
Trzecia droga Bartłomiej Wojnarowski	36
Przybici do klonowego Krzyża Konrad Myszkowski	39
5 języków miłości Mateusz Rezler	46
„Cierpienia księdza Donissana” Tomasz Kumiega	50
Islandzka droga do wyleczenia Nina Kogut	56
Gniew wobec Kościoła Piotr Krajski	61
Gry komputerowe – nowy nośnik kultury? Michał Sadowski	66



**Już się spełnia wieczne słowo,
Pieśni, co ją Dawid śpiewa.
Głośną na świat cały mową,
Oto Bóg królował z drzewa.
(3. zwrotka pieśni „Króla wznoszą się znamiona”)**

Drodzy Czytelnicy miesięcznika „Adeste”!

Trwamy w świętym czasie Wielkiego Postu. To okres liturgiczny, który ma nas przygotować na Najświętsze Misterna wiary. Czas, w którym jak mówił w 2017 roku papież Franciszek podczas Mszy Środy Popielcowej musimy: „Pomyśleć i zadać sobie pytanie: co by stało się z nami, gdyby Bóg zamknął przed nami drzwi? Co by stało się z nami, bez Jego miłosierdzia, które niestrudzenie nam przebacza i zawsze daje nam szansę, by zacząć od nowa?”.

Święte Misterna Zbawienia - Męka, Śmierć i Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa przekraczają nasze ludzkie pojmowanie. Żadne słowa, nawet najlepszego teologa nie wystawią potęgi tego, co wydarzyło się na Krzyżu. Możemy jedynie w darze miłości spojrzeć na Drzewo, na którym dokonało się nasze odkupienie. Bóg w bezinteresownym darze dał nam swojego Jedynego Syna, prawdziwego Boga, Jezusa Chrystusa. I co więcej, jego tryumf nie odbył się w politycznym przewrocie, w potęgze i władzy, ale z Drzewa.

Wielkopostny, 6. numer miesięcznika Adeste poświęcony będzie Bogu, który umarł z miłości i wszystkim, którzy z miłości oddają siebie innym, łącząc się z Paschą Boga. W tym numerze opowiemy o ofiarności, cierpieniu i Passze - Chrystusa, Kościoła i świata.

Mam szczerą nadzieję, że nasz miesięcznik nawet w niewielkim stopniu pomoże naszym Czytelnikom w przygotowaniach do Świąt Paschalnych. Byśmy w te najważniejsze dni zamilkli, nie analizowali, tylko się zachwycili. Bo oto wydarzyło się coś, co jest ponad naszym rozumieniem, naszymi dyskusjami, rozumieniem religii i rzeczywistości - Bóg króluje z Drzewa.

Z modlitwą +

Bartłomiej J. Wojnarowski
Redaktor Naczelny miesięcznika „Adeste”





źródło: unsplash.com

Misterium, w które nikt nie chce wierzyć



Bartłomiej Witeszczak

Polska katolicyzmem stoi. Przed chwilą świętowaliśmy 1050-lecie chrztu Polski, 90% Polaków deklaruje się jako katolicy, a głos Kościoła powszechnie uważa się za istotny w debacie publicznej. Jesteśmy ostoją wiary w coraz bardziej gnijącym zachodnim świecie, ostatnim bastionem trzymającym się na przekór współczesnym prądom myślowym, znakiem sprzeciwu wobec postępującego upadku. Świat powinien brać z nas przykład.

Złudzenie raju

Cały powyższy fragment to piękny wycinek myślenia życzeniowego dotyczącego statusu katolicyzmu w Polsce. Już Stanisław Wyspiański w „Weselu” rozprawiał się z polskimi mita-

mi narodowymi, lecz w świetle odważnych deklaracji padających z różnych stron, trudno pozbyć się wrażenia, iż nastąpiła najwyższa pora, aby do kanonu tychże dołączyć mit Polski jako kraju żyjącego i oddychającego wiarą katolicką. Wśród

publicystów, hierarchów, kapłanów czy zwykłych wiernych jest on bardzo mocno zakorzeniony – wystarczy przyjrzeć się chociażby funkcjonowaniu tych mitycznych „90% katolików” w społeczeństwie, gdzie wszystkie strony w mniejszym



źródło: unsplash.com

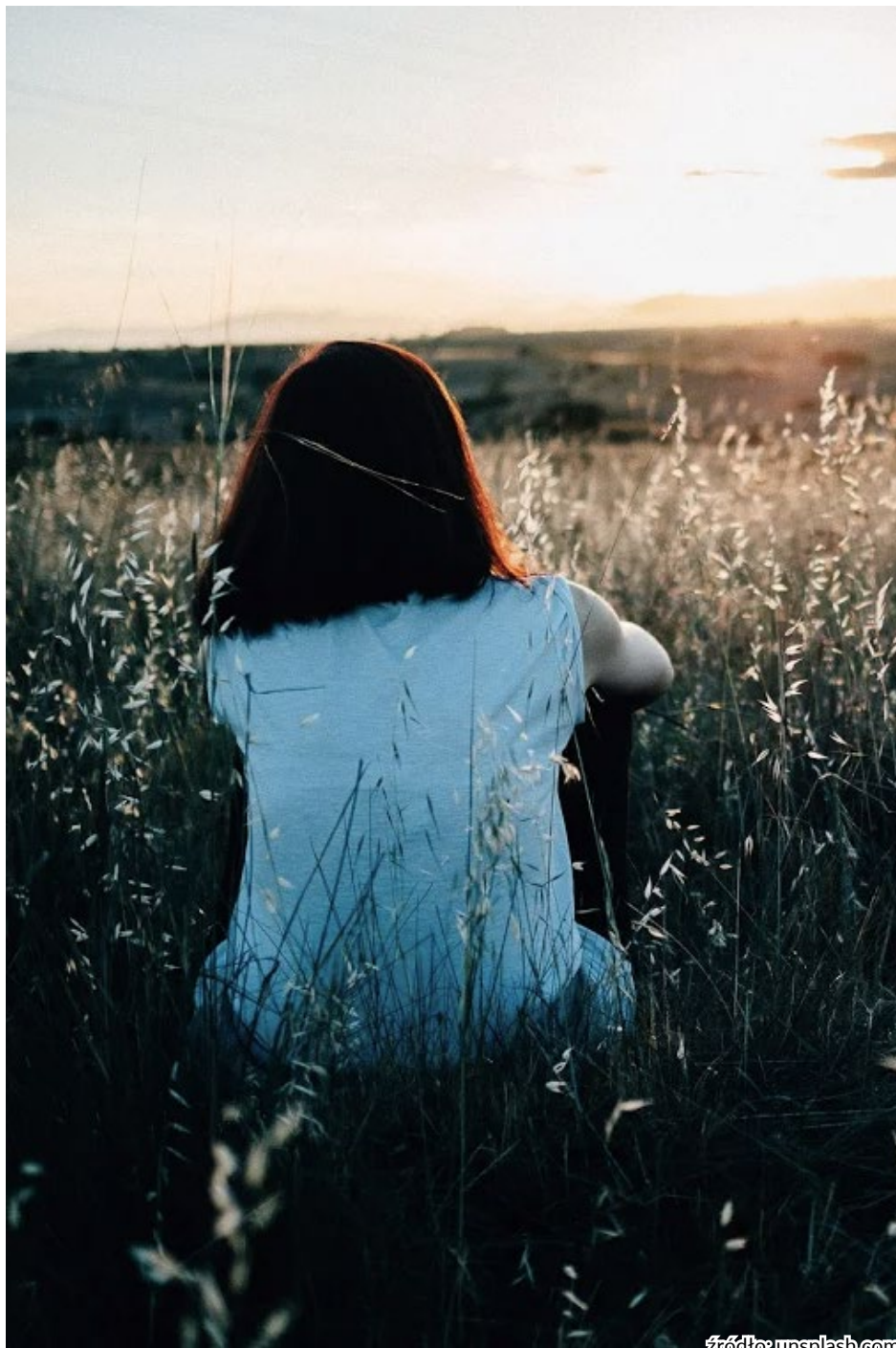
lub większym stopniu odwołują się do tego przekonania. To złudzenie pogłębia wszechobecność Kościoła w sferze publicznej. W mniejszych ośrodkach to wokół parafii najczęściej koncentruje się życie mieszkańców, w większych funkcjonują liczne wspólnoty i duszpasterstwa. W mediach przy okazji każdej większej dysputy światopoglądowej przywoływany jest głos Kościoła; elektorat katolicki jest poważną grupą, której nie można ignorować przy konstru-

owaniu prognoz politycznych. Kościół – a zatem i wiara – niewątpliwie jest obecny w naszym życiu, naszym świecie. Pytanie brzmi: w jaki sposób?

Obecność pragmatyczna

Ja pokusiłbym się o stwierdzenie, że jest to obecność pragmatyczna. Obecność pragmatyczna, czyli opierająca się przede wszystkim na nawykach, zwyczajach, tradycjach i przyzwyczajeniach. W końcu

nie ma nic dziwnego w tym, że ksiądz chodzi po kołędzie. Nie ma nic dziwnego w tym, że biskupi zabierają głos w sprawie ustawy o zakazie handlu w niedziele. Nie ma nic dziwnego w tym, że dziecku należy urządzić chrzciny, komunię, bierzmowanie. Nie ma nic dziwnego w tym, że jak ślub, to tylko kościelny („bo tak ładnie, wzruszająco, no i co rodzice by powiedzieli”). Nie ma nic dziwnego w tym, że jak młody chłopak jest uduchowiony i za dziewczuchami się nie ogląda, to pewnie pójdzie do seminarium. I tak dalej, i tak dalej. Przedstawiając, co rozumiem pod pojęciem obecności pragmatycznej, uciekłem się do przejawskawionych i wyrazistych przykładów, lecz one z całą pewnością nie wyczerpują jego granic. Gdy spoglądamy na księdza idącego ulicą, naszą pierwszą myślą nie jest zapewne to, że „oto nadchodzi ten, który uobecnia ofiarę Chrystusa”. Nasze myślenie i postrzeganie kwestii związanych z wiarą w wielu przypadkach – czy tego chcemy czy nie – nie jest wolne od przyzwyczajień i nawyków. I nie ma w tym zasadniczo nic złego, bo czymś sztucznym i niewskazanym byłoby rozdzielenie obecności pragmatycznej od obecności mistycznej, nadprzyrodzonej (tak jak czymś sztucznym byłoby rozdzielenie widzialnego znaku



źródło: unsplash.com

od niewidzialnej łaski w sakramencie). Obecność pragmatyczna jednak wystarcza do podtrzymania przy życiu mitu katolickiej Polski. Lecz żeby zweryfikować jego prawdziwość, należy uciec się do obecności mistycznej i sprawdzić w jakim stopniu dotyczy ona i wpływa na życie Polaków. W teorii dosyć ciężko znaleźć wiarygodną i miarodajną

metodę zweryfikowania tego – mamy do czynienia koniec końców z wielką rzeszą ludzi, prawie czterdziestomilionowym państwem. Na pomoc śpieszy nam w tym wypadku Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego wraz ze swoim raportem dotyczącym dominantes (katolików uczestniczących w niedzielnych Mszach Świętych) oraz Commu-

nicantes (osób przystępujących do Komunii Świętej. Oddajmy zatem głos statystykom.

Bzdura

„Z danych przedstawionych przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego, zebranych na podstawie dorocznego liczenia wiernych w parafiach, wynika, że w 2016 roku w niedzielnej Eucharystii uczestniczyło 36,7% zobowiązanych katolików, podczas gdy do Komunii Świętej przystąpiło 16%. Najwyższy wskaźnik dominantes odnotowano w diecezji tarnowskiej (66,9%), rzeszowskiej (60,5%) i przemyskiej (56,4%). Najniższy w diecezji szczecińsko-kamieńskiej (22,7%), łódzkiej (23,4%) i koszalińsko-kołobrzeskiej (24,4%). Wskaźnik communicantes był najwyższy w diecezji tarnowskiej (25,3%), opolskiej (21,1%) i zamojsko-lubaczowskiej (20,1%) zaś najniższy w diecezji sosnowieckiej (10,3%), szczecińsko-kamieńskiej (10,5%) i koszalińsko-kołobrzeskiej (10,5%)”.

Te statystyki są dla mitu Polski katolickiej druzgocące. Z 90% wierzących robi się 40%, a jeżeli jako wyznacznik rzeczywistego życia wiarą potraktować przyjmowanie Komunii Świętej 16%! Niecała jedna szósta osób widniejących w rejestrach jako katolicy! War-

to przez chwilę uświadomić sobie, jaka to w gruncie rzeczy jest garstka – jak bardzo ów mit wrył się w naszą świadomość i ją przekształcił. A należy w tych wyliczeniach uwzględnić także margines ludzi, którzy nawet jeżeli się pojawiają na niedzielnej mszy, to przeżywają (zarówno ją, jak i całe swoje życie chrześcijańskie) machinalnie, z przyzwyczajenia.

Wiara – przeżywana świadomie i z zaangażowaniem – została wydzielona i odseparowana od dusz Polaków. Ostała się jeszcze na fasadach, „odkurzanych” z namaszczeniem tradycjach, schematach myślowych. Misterium, istota naszej wiary, jej nadprzyrodzony charakter, tajemnica przyjścia, życia, męki i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa – jak puste i ubogie musi być życie religijne odarte z tego całego bogactwa! I to się dzieje, to nie jest problem czyśto abstrakcyjny. To dotyka bezpośrednio nas, nasze rodziny, nasze środowiska.

Gdzie jesteśmy?

Trzeba to wprost powiedzieć – gonimy Europę Zachodnią i to w naprawdę szybkim tempie. Nie widać tego tak na co dzień, bo jak już wspomniałem, ta obecność pragmatyczna religii w naszym życiu nadal pozostaje mocno akcentowana. Ale

na samej obecności pragmatycznej niewiele można zbudować. Niech przykładem ilustrującym przebieg tego zjawiska stanie się dla nas Hiszpania, gdzie z jednej strony mamy do czynienia z hucznymi i spektakularnymi obchodami Wielkiego Tygodnia (procesje, pieśni, tłumy na ulicach) i jednocześnie liberalnym prawem aborcyjnym, postępującym upadkiem znaczenia Kościoła (zwłaszcza wśród młodzieży). Kraj uchodzący do niedawna za jeden z najbardziej katolickich, dziś legitymuje się zaledwie 15% wiernych uczestniczących w niedzielnej Mszy Świętej!

Jak to dzieje się, że ludzie przestają wierzyć w misterium? Odpowiedź wydaje się bardzo prosta: odwołuje ich od tego świat. Wynajduje i podsuwa nam nieustannie niskojakościowe substytuty strawy duchowej (człowiek czymś koniec końców musi zająć swoje myśli, więc dla świata lepiej, by były to seriale, serwisy społecznościowe, medialne tematy zastępcze, plotki dotyczące życia celebrytów aniżeli wznoszenie swojej duszy w modlitwie ku Bogu i rozważanie Jego dzieł). Nie ma jednak co popadać w fatalizm: owszem, bardzo wielu ludzi to zaspokaja. W dłuższej jednak perspektywie prędzej czy później rodzi się w nich świadomość marności tego wszystkiego, dopada ich

zmęczenie. A niedługo potem pojawia się tęsknota. Tęsknota za czymś, co przewyższa, sięga dalej, wybija się ponad prozę życia.

Perspektywy

Jeżeli chcemy odwrócić ten trend (bo niewiele wskazuje, by miał odwrócić się sam z siebie), wyjście wydaje się jedno. W pierwszej kolejności trzeba zaakceptować upadek mitu Polski katolickiej – im dłużej będziemy przy nim trwać, tym bardziej trwający przy wierze będą zakorzeniani w pragmatycznym jej przeżywaniu. Trzeba poddawać ustawicznej krytyce bezrefleksyjne trwanie przy pragmatycznych nawykach i schematach, nawet za cenę przyznania, że połowa Polaków uważających się za katolików w rzeczywistości związana jest z Kościołem w stopniu minimalnym, wręcz symbolicznym.

Jednocześnie trzeba zagospodarować całą tę tęsknotę za czymś wyższym, głębszym, transcendentnym. Nie reformować Kościoła, przewracać go do góry nogami, by przypodobać się ludziom, ale ukazać, że wstępując na tę drogę znajdują jej wypełnienie. Bo misterium Chrystusa to misterium prowadzące przez śmierć (dla grzechu, dla siebie, dla śmierci) do pełni życia.





źródło: pexels.com

Pokuty małe i duże w życiu świętych XIX i XX wieku



Ks. Dawid Tyborski

Niedawno zakończony rok fatimski, poświęcony stuleciu objawień Matki Bożej, poruszał wiele tematów w Kościele, o których wielu wolałoby zapomnieć lub uznać za niepotrzebne relikty minionej epoki. Wezwanie Anioła Fatimskiego: „Pokuta, pokuta, pokuta” w uszach wielu oświeconych laików i teologów zabrzmiało jak wezwanie do wyimaginowanej średniowiecznej bijatki samego siebie w poczuciu ogromu swoich win i nędzy. Boża logika, będąc z zasady dla ludzkiego myślenia niekonwencjonalna, pokazywała świętość i pokutę, radość i umartwienie nieodłącznie i razem.

Podaję, że każdy z nas pamięta lekcje historii o czarnej śmierci pustoszącej Europę oraz smętnych procesjach biczowników, którzy pragnęli przebłagać surowego Boga za grzechy i zniewagi, głęboko wierząc, że to przyczyni się do zakończenia tragicznej zarazy. Dzisiaj w wie-

lu umysłach dojrzewa pokusa, która chce odrzucenia umartwienia i pokuty, bowiem Bóg, który przecież kocha i pragnie dobra, nie chce, żebyśmy cierpieli. Co jeśli cierpienie staje się amoris victima – ofiarą miłości?

Losy wielu świętych, do dzisiaj podziwianych i słynnych,

a także codzienna szarzyzna ich dalekiego od słodkich hagiografii i uroczych obrazków życia pokazuje, że miłość, która woła o ofiarę, czasem wzywa do niezwykłych form umartwienia, które dzisiaj budzą bardziej zdziwienie i politowanie, a we współtowarzyszach życia bu-



Obraz bł. Marii Karłowskiej z Sanktuarium jej imienia w Jabłonowie

źródło: wikicommons

dziły pokorny podziw. Trudno w starożytnej i średniowiecznej hagiografii oddzielić fakty od pobożnej przesady, jednak współczesna hagiografia bardziej lubuje się w faktach. XIX i XX w. daje nam wiele przykładów świętobliwych żywotów, które nie stroniły od surowych pokut i umartwień, nie dla cierpiętnictwa, ale dla miłości.

Bł. Maria Karłowska

Bł. Maria Karłowska (1865-1935), założycielka sióstr pasterek, umartwiała się często i boleśnie – zakazywała jednak tego samego swoim siostronom. Rozu-

miała, że musi stać się całkowitą ofiarą miłości dla Chrystusa, by wypełnić bez reszty charyzmat swojego zgromadzenia: szukać i zbawić to, co zaginęło. Siostry pasterki zajmowały się ratowaniem upadłych dziewcząt, a dzisiaj pracują z trudną młodzieżą. W tej intencji Matka Maria wiele pokutowała, używała bicia, cilicium (inaczej włosienica, jednak z reguły składająca się z metalowych kółek zakończonych małymi kolcami) i desek z gwoździami. Nigdy jednak nie była ponura czy pochmurna, zawsze podchodziła do drugiego człowieka z czułością i miłością, a swoje praktyki pokutne pełni-

ła tylko za wiedzą spowiednika i skrzętnie je ukrywała.

Bł. Maria Bolognesi

Bł. Maria Bolognesi (1924-1980) to włoska mistyczka i świecka osoba. Pochodziła z rozbitej rodziny, w której ojciec nie chciał wziąć odpowiedzialności za dziecko i uciekł od matki. Przez większość życia żyła razem z matką w nędzy, jednak jej serce było zanurzone w duchowym bogactwie. Doznawała objawień Jezusa Chrystusa, z którym miała pełne czułości i miłości dialogi. Jako jedna z niewielu świętych przeżyła opętanie, które miało całkowicie ją oczyścić. Jako narzędzia do umartwienia używała cilicium składającego się z kawałków drewna powiązanego sznurkiem. Po prostu na metalowe nie było jej stać.

Św. Faustyna Kowalska

Św. Faustyna Kowalska (1905 – 1938) to jedna z najpopularniejszych polskich świętych na świecie, zaraz obok św. Jana Pawła II. Jej apostołstwo Bożego Miłosierdzia jest znane praktycznie w każdym kraju, w którym występuje religia katolicka. Jej „Dzienniczek” został przetłumaczony na kilkadziesiąt języków. Choć znamy Faustynę jako czułą i oddaną służebnicę

Bożego Miłosierdzia, i ona nie szczędziła sobie ciężkich pokut i umartwień, biczowania, metalowego cilicium na udo i w kształcie krzyża. W „Dzienniczku” zanotowała: „Dziś nosiłam siedem godzin pas łańcuszkowy, aby uprosić danej duszy łaskę skrucy, w siódmej godzinie doznałam odpoczynienia, gdyż dusza ta już we własnym wnętrzu doznawała odpuszczenia, choć jeszcze się nie spowiadała”.

Bł. Bp Jan Chrzyciel Scalabrini

Bł. Bp Jan Chrzyciel Scalabrini (1839-1905) był Biskupem Piacenzy i założycielem dwóch zgromadzeń misyjnych. Na biskupa wyświęcił go bł. Pius IX. Kiedy wybuchła epidemia cholery, jako jeden z pierwszych poszedł pielęgnować chorych, ratować ubogich i pocieszać rodziny. Zajmował się włoskimi emigrantami i czuwał nad ich łącznością z Kościołem, katechizacją oraz pomagał w kontaktach z rodzinami. Rozumiał ogromną potrzebę dobrej katechezy i edukacji wśród ludu. Zakładał szkoły i towarzystwa katechetyczne. Także on korzystał w swoich codziennych umartwieniach z metalowego cilicium. Jak powiedział: „jest dobrym instrumentem w drodze do świętości”. Beatyfikował go św. Jan Paweł II.

Bł. Franciszek Ksawery Seelos CSsR

Bł. Franciszek Ksawery Seelos CSsR (1819 -1867) był niemieckim kapłanem zgromadzenia redemptorystów. Pościł wśród niemieckich emigrantów w Ameryce. Wiecznie uśmiechnięty i radosny, okazywał serce każdemu, kogo spotkał. Jego pasją była katechizacja dzieci i głoszenie kazań prostych i obrazowych. Przez kilka lat pracował jako wikariusz u boku św. Jana Nepomucena Neumanna. Pewnego dnia został wezwany do umierającej. Dopiero po namaszczeniu zorientował się, że jest w domu publicznym. Niezrażony tym faktem dalej kontynuował modlitwy. Sprawa nabrała rozgłosu, a gazety w sposób obelży-

wy rozpiswały się na temat o. Franciszka i jego obecności w domu publicznym. Kiedy ktoś go o to pytał, odpowiadał prosto: „Cóż, uratowałem jedną duszę”. Przeniknięty pragnieniem pokutowania za powierzone sobie owce, zaczął używać cilicium i dyscypliny (bicz ze sznurków). Umartwienia cielesne powierzał w intencji swoich parafian i potrzebujących, którym niósł pomoc.

Bł. Michał Augustyn Pro SJ

Bł. Michał Augustyn Pro SJ (1891 - 1927) był raczej materiałem na niezłego nicponia, niż na świętego pokutnika, jednak Bóg ma swoje zaskakujące ścieżki i nie kieruje się ludzką oceną. W ukryciu palił papierosy, podrywał chyba każdą na-



Egzekucja bł. Michała Augustyna Pro

źródło: wikicommons

potkaną dziewczynę, uwielbiał imprezy, nie mówiąc o alkoholu, kochał towarzystwo i bycie za-uważanym. Dla żartów nawet udawał duchownego. Wbrew woli rodziców postanowił zostać zakonnikiem. Z powodu rosnących antykatolickich nastrojów zakon wysłał go początkowo za granicę, do USA, potem do Europy. Jednak serce ciągle kazało mu wrócić do Meksyku. Pod rządami prezydenta Callesa Meksyk pogrążył się w antykatolickim amoku, który przerosł w otwartą wojnę. A o. Michał trafił wprost na rozpętaną burzę. Młodzieńcza brawura okazała się jednak doskonała do igrania z władzami. Michał był wszędzie i jednocześnie nigdzie. Był najbardziej poszukiwaną osobą w mieście Meksyk. Ciągłe śledzony i poszukiwany, codziennie odprawiał Mszę Świętą, rozdawał po całym mieście od kilkudziesięciu do kilkuset Komunii Świętych dziennie. Kiedyś uciekając przed policją schwytał nieznaną dziewczynę, której powiedział „Ratuj mnie, jestem księdzem!”. Policja ledwo spojrzała na stojącą parę „zakochanych”. W 1927 roku wpadł w zasadzkę i po pokazowym procesie został publicznie rozstrzelany wraz ze swoim bratem. Ostatnim jego okrzykiem było „Niech żyje Chrystus Król!”. Duchowe siły do ciągłej walki z prześladowcą i do po-

śługi duszpasterskiej czerpał z Eucharystii i umartwienia. W podziemiu udało mu się przeprowadzać nawet rekolekcje dla kilkuset osób, pod nosem masońskiej władzy! Jako narzędzia pokutnego używał cilicium i dyscypliny.

Św. Matka Teresa z Kalkuty

Św. Matka Teresa z Kalkuty (1910-1997) to jedna z największych współczesnych ikon miłosierdzia. Kobieta, która poświęciła życie na przywracanie godności chorym, biednym, umierającym na ulicach Indii, a potem całego świata. Stała się też przez to obiektem wściekłych ataków za życia i po śmierci. Ona jednak nie brała nigdy do siebie tych słów. A jeszcze gorliwiej oddawała się posłudze wśród opuszczonych, chorych i umierających. Choć nie jest kojarzona z pokutą i umartwieniem, codziennie używała cilicium i dyscypliny.

Bł. Maria Pierina De Micheli

Bł. Maria Pierina De Micheli (1890 – 1945) to włoska mistyczka i zakonnica z ze zgromadzenia Niepokalanego Poczęcia z Buenos Aires. Jest jedną z apostołek kultu Najświętszego Oblicza i to ona otrzymała szkaplerz Najświętszego Oblicza, który zatwierdził Sługa Boży

Pius XII, a który był powodem wielu ataków złego ducha na Matkę Pierinę. Wielką przyjaźnią darzyła swojego kierownika duchowego, benedyktyna sylwestryna Opata Dom Hildebranda Gregori. On to prowadził ją duchowo i rozumiał jej ideę wynagradzania Najświętszemu Obliczu za zniewagi i bluźnierstwa. Jako narzędzia umartwienia nieprzerwanie używała metalowej włosienicy, a swoje cierpienie oddawała w intencji wynagradzania Boskiemu Obliczu Jezusa Chrystusa.

Św. Leopold Mandić OFM

Św. Leopold Mandić OFM (1866-1942) był malutkim świętym. 1,35 m budziło jeśli nie politowanie, to śmiech. Był powszechnie uważany za głupiutkiego, nikt nie chciał powierzyć mu żadnej funkcji, często się jąkał, zamiast alby używał komży, którą i tak musiał podwiązywać. Jednak, jak wiemy z biblijnych przekazów, to nie w sile i wielkości męża leży wielkość, lecz w pokornym pełnieniu woli Bożej. I tutaj braciszek Leopold bił na głowę wszystkich. Okazało się, że jest wytrawnym spowiednikiem, co w efekcie skończyło się tym, że został niewolnikiem konfesjonau. Słynął też z delikatnych pokut. A co noc przeżywał katusze i męki, które miały być udziałem rozgieszonych.



Zdjęcie bł. Pawła VI z 1963 roku

źródło: wikicommons

On jednak niestrudzenie, łagodnie i delikatnie prowadził dusze w spowiedzi. Potrafił skruszyć nawet najtwardszego grzesznika swoją maleńkością, bezradnością i dobrocią. Delikatne pokuty też miały swoją cenę. To o. Leopold brał pokuty za swoich penitentów często się umartwiając i biczując metalową dyscypliną. I na nowo ofiarnie spowiadając i jednając grzeszników z Bogiem. Umarł w swojej celi, do końca spowiadając.

Bł. Paweł VI

Bł. Paweł VI (1897-1978) to papież burzliwych czasów. Z jednej strony rewolucja seksualna, z drugiej bezbożny komunizm.

Początek pontyfikatu to trudna i mozolna praca soboru otworzonego przez jego poprzednika, św. Jana XXIII. Choć znamy go bardziej jako papieża trudnych czasów około soborowych, to zarówno on, jak również słynny teolog Hans Urs von Balthasar, korzystali z włosienicy i dyscypliny. Papież Paweł VI wiele swoich pokut i umartwień oddawał za Kościół, który wtedy przeżywał szczególnie burzliwy okres.

Oczywiście to tylko wybrane i nieliczne postacie spośród całej grupy świętych, błogosławionych, czcigodnych i sług bożych, którzy umartwiali się przez biczowanie, dyscypliny czy używanie włosienicy. Ta

pobożna praktyka musi jednak, jak w każdym przypadku wyżej wymienionych świętych, odbywać się za wiedzą i zgodą kierownika duchowego, który pomoże rozeznąć, czy nie będzie to powodem do duchowej pychy. Do dzisiaj używa się tych praktyk pokutnych w Opus Dei czy niektórych zakonach.

Jeśli pokuta i umartwienie są zjednoczone z jedyną Ofiarą Jezusa Chrystusa i ich celem jest chwała Boża oraz pragnienie cierpienia i pracowania dla nawracania dusz, bez uszczerbku dla zdrowia, to jest ona źródłem wielu sił i duchowych łask, które pomagają wzrastać w świętości. Warto też rezygnować z małych i banalnych rzeczy. Małe umartwienia i pokuty są równie cenne dla duszy. Św. Josemaria Escriva nie opierał się o krzesło, św. Dominik Savio odmawiał sobie deseru, św. Hiacynta i św. Franciszek Marto odmawiali sobie zabawy na podwórku. Żeby pokutować i umartwiać się nie potrzeba wielkich i ciężkich pokut. Wystarczy dużo miłości, która przelewa się na potrzebującego grzesznika, a ma źródło w Sercu Pana Jezusa. To z Jego serca płynie pragnienie zbawienia grzeszników.

A czego ty, Drogi Czytelniku, sobie odmówisz, żeby ofiarować to z miłości za twojego brata lub siostrę?



Chrystus – nowy Baranek paschalny



Piotr Bogdanowicz

Na kartach Pisma Świętego mamy dwa opisy dwóch szczególnych nocy, pełnych grozy i niepewności, strachu i zwątpienia, krwi oraz śmierci. Jednak noce te pełne są również cudów i nadziei, modlitwy i oczekiwania, są to noce otwierające drzwi wolności. Choć odległe od siebie w czasie – wszak dzielą je całe wieki – to jednak mają ze sobą wiele wspólnego. Łączy je nie tylko nazwa – Pascha, lecz także ofiara, jaka została w ich trakcie złożona oraz jej skutki.



źródło: pexels.com

Pierwszy opis znajdujący się w dwunastym rozdziale Księgi Wyjścia dotyczy nocy, w której naród wybrany spożywał Paschę^[1] na cześć Pana i w której został wyzwolony z niewoli egipskiej. W trakcie jej trwania każdy Izraelita spożył we wspólnocie rodzinnej lub sąsiedzkiej baranka bez skazy, samca jednorocznego albo jagnię lub kozłą. Zwierzę zostało zabite

o zmierzchu czternastego dnia miesiąca Nisan, a jego krwią oznaczono progi domów i odrzwia, co zapewniało ochronę przed mającym przejść tej samej nocy przez Egipt Jahwe, który zabije „wszystko pierworodne w ziemi egipskiej od człowieka aż do bydła” oraz „odbędzie sąd nad wszystkimi bogami Egiptu” (Wj 12,12). Pascha odbywała się w pośpiechu z przepasanymi

biodrami, sandałami na nogach i laską w ręku, co jednoznacznie wskazywało, że naród ma być przygotowany do drogi. Od tamtej pory, z wyraźnego nakazu Bożego, Izraelici rok rocznie obchodzą pamiątkę tego wydarzenia starając się jak najdokładniej uobecnić i odtworzyć jego przebieg, przez co każde pokolenie, może przeżywać to niczym własny exodus, własne

[1] Nazwa „Pascha” (hebr. pesah) pochodzi od hebrajskiego czasownika pasah i oznacza przejście Boga ponad domami Izraelitów żyjących w Egipcie, aby ocalić ich domy od zagłady. Samo słowo „Pascha” ma podwójne znaczenie. Określa się nim zarówno baranka paschalnego (por. Wj 12,21) jak i samo święto, podczas którego ów baranek został spożyty (por. Wj 12,43).



źródło: wikicommons

wyjście.

To coroczne świętowanie Paschy, którą święty Tomasz z Akwinu nazywa „sakramentem starego Prawa”^[2], przypomina ponadto, że Bóg jest stale obecny w życiu i historii swojego ludu, wciąż oczekującego ostatecznego wyzwolenia z niewoli, którego miał dokonać Mesjasz. Nie ma tu znaczenia, że gdy Chrystus czynił wszystko nowe, to w Izraelu będącym pod panowaniem rzymskim, wielu utożsamiało to wyzwolenie z wolnością polityczną. Bóg sam najlepiej wiedział jakiej wolności potrzeba człowiekowi, a była to wolność z niewoli grzechu i śmierci.

Właśnie w noc paschalną Jezus podczas Ostatniej Wieczerzy, wypowiadając słowa i dokonując czynów, wypełnia i uosabia w sobie cały sens tego święta. Przez przeistoczenie, którego dokonuje i podanie Apostołom swojego Ciała i Krwi do spożycia, wskazuje jednocześnie na siebie jako nowego Baranka, którego Krew już niebawem zostanie przelana

za wielu na drzewie krzyża (por. Mk 14,22-24). Ta Krew w swoich skutkach, podobnie jak krew baranka paschalnego zabitego w noc wyjścia z Egiptu, wybawia nas od śmierci wiecznej i uwalnia spod jarzma grzechów. Ponownie zostają dla nas otwarte bramy niebios zamknięte uprzednio wskutek grzechu nieposłuszeństwa pierwszych rodziców. Dokonuje się prawdziwe przejście z tego świata do Ojca, do ziemi obiecanej, którą jest Królestwo niebieskie.

Na miejscu baranka pojawia się Jezus. Ta starożytna uroczystość miała przygotować naród izraelski na tę właśnie chwilę, w której padną słowa i zostaną dokonane czyny, będące konkretnym i realnym wypełnieniem tego wszystkiego, czym była żydowska Pascha. Jezus nie niszczy ani nie odsuwa w zapomnienie dawnej treści samej Paschy, lecz nakłada na nią treść nieskończonej od niej ważniejszą, co więcej – taką, która ją przerasta. Nastaje pełnia czasów, o której w „Ho-

milii Paschalnej” pięknie mówi Meliton z Sardes: „Misterium paschalne jest zarazem nowe i stare, wieczne i doczesne, podległe zniszczeniu i niezniszczalne, poddane śmierci i nieśmiertelne (...). Stare przez Prawo, nowe przez Słowo; przeminęło z czasem jako zapowiedź rzeczy przyszłych, lecz trwa wiecznie, ponieważ daje łaskę; podległe zniszczeniu jako ofiara baranka, niezniszczalne, gdyż Pan żyje (...). Stare jest Prawo, lecz Słowo nowe; to, co było tylko zapowiedzią, przeminęło z czasem, ale łaska jest wieczna (...). Figura przeminęła i odnaleziono prawdę, zamiast baranka – Bóg, zamiast owcy – człowiek, a w człowieku Chrystus, który wszystko obejmuje. Tak więc ofiara baranka, obchodzenie Paschy i księgi Prawa miały jako cel Chrystusa Jezusa. Ku Niemu zmierzało całe dawne Przymierze, lecz o ileż bardziej jest On ośrodkiem nowego porządku”^[3].



[2] STh, III, 60, 2, 2.

[3] Meliton z Sardes, *Homilia paschalna*, [w:] LG (t. II), s. 435.

„Nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich.”



Sebastian Filipek

Miłość – to słowo zna każdy z nas. Najczęściej pierwsze co przychodzi nam do głowy, to obraz zakochanej pary. Przychodzą nam na myśl dawne wspomnienia czasów przedmażeńskich czy też obecnych czasów, jeśli jeszcze nie związaliśmy się z tą drugą osobą. Niektórzy z kolei są smutni, bo chcieliby znaleźć ukochaną osobę, ale wciąż są „sami”. Ale czy miłość to tylko to? Okazuje się, że nie, więcej – to wręcz nie jest miłość, a uczucie. Obecnie oba te terminy są używane nagminnie, jakby oznaczały to samo. Jednak miłość to nie jest uczucie – to świadomy akt woli. Miłość przecież nie polega na tym, że cały czas mamy być radośni, zadowoleni, beztroscy i czuć „motyle w brzuchu”. Miłość jest wtedy gdy jesteśmy gotowi służyć tej drugiej osobie, gdy rezygnujemy z siebie dla drugiego człowieka. Nie ja jestem najważniejszy, tylko ktoś inni. Jednak miłość nie ogranicza się tylko do aspektu małżeństwa. Miłość występuje też między rodzicami a dziećmi, między dziadkami a wnukami. Występuje też między przyjaciółmi, mimo że powszechnie nie nazywa się to miłością to jednak de facto myślimy bardziej o tymże przyjacielu niż o nas samych. Wszelkiego rodzaju zażyłości też są rodzajami miłości.



źródło: unsplash.com

Miłość wiele imion ma

Okazuje się więc, że istnieje wiele rodzajów miłości. Ale spośród nich jedna jest wyjątkowa. Jest to miłość doskonała. Jej przykładem jest Bóg, stworzył

On człowieka i mimo tego że ten często odwraca się od Niego, Ten cierpliwie czeka na każdego z nas i jest gotów zapomnieć choćby najgorsze zło, jeśli tylko my zechcemy do Niego powrócić. Chrystus w jednej z przy-

powieści przedstawia Boga jako ojca, który z utęsknieniem czekał na nawrócenie swojego syna. Takim synem jest każdy z nas, gdyż nie ma nikogo, kto by nie miał grzechu. Człowiek ma grzeszną naturę, co unie-

możliwiało mu udział w chwale Boga. I tutaj Bóg dał nam przykład największej miłości jaka tylko może istnieć – takiej, że jest w stanie poświęcić życie Swojego Syna, aby nas zbawić. Chrystus istniał od zawsze, razem z Bogiem Ojcem i Duchem Świętym. I teraz ten Bóg staje się człowiekiem i umiera za nas. Powtórzę to jeszcze raz: Stworzyciel umiera za swoje stworzenie, aby pokonać śmierć. A przecież śmierć nie tyczy się Boga. A jednak zrobił to. Zrobił to po to, abyśmy mogli przebywać z Nim w raju. Do końca nas umiłował. Poświęcił się dla nas. Stał się ofiarą przebłagalną za nasze grzechy. Odtąd nie składamy już ofiar całopalnych, które były zresztą i tak niedoskonałe. Chrystus stał się zaś ofiarą doskonałą.

Jeszcze przed swoją Męką i Zmartwychwstaniem Chrystus mówił, że „nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich.” (J 15, 13). W ten sposób z jednej strony nas zbawił, ale z drugiej strony stał się również drogowskazem dla swych uczniów, jak postępować. Każdy Jego uczeń zarówno żyjący w dawniejszych czasach, jak i tych obecnych, chce się upodabniać do naszego Mistrza, miłując drugiego człowieka tak mocno, iż byłby w stanie oddać za niego swoje życie. Historia zna przy-

padki świętych, którzy właśnie tak postępowali. Jednym z nich był św. Maksymilian Maria Kolbe. Oddał swoje życie za człowieka, który został skazany na śmierć głodową. A przecież o. Kolbe nie znał tego człowieka. Tak po ludzku patrząc znaczył on dla niego mniej niż rodzina czy Bóg. Dlaczego więc tego dokonał? Bo dostrzegł Boga w drugim człowieku. Jakże często zdarza się nam, że w drugim człowieku widzimy rywala. Że myślimy o kimś źle lub (nie daj Boże), życzymy mu czegoś złego. Bardzo często stykamy się z wszędobylskim egoizmem. Sami również narzekamy na innych, dlatego że myślimy o sobie zamiast o nas. Że my jesteśmy pozostawieni sami sobie. Ale czy dostrzegamy innych, którzy potrzebują naszej pomocy? A może zamykamy się w skupieniu pozytywnych przeżyć nie dopuszczając do myśli, że może ktoś w tej chwili potrzebuje naszej pomocy? Potem zaś, gdy nam dzieje się krzywda pytamy się: Gdzie jest Bóg? Nie zauważamy, że Bóg nie jest naszym sługą, że musimy zadać sobie trud, aby go znaleźć. W tych wszystkich postawach przejawia się niestety egoizm. Jakże piękniejszy był świat, gdybyśmy zamiast skupiać się na sobie, skupili się na drugim człowieku. Gdybyśmy dostrzegli w nim Boga. Dostrzegli, że on cierpi również dziś,

w drugim człowieku.

Miłość to służba

Gdy Chrystus został skazany na śmierć, mało kto zwracał na Niego uwagę. Dzisiaj my również jesteśmy nieczuli. Podczas gdy w naszym kraju panuje pokój, w innych trwają wojny, często nawet wieloletnie. Trwają prześladowania chrześcijan. Dlaczego nie czujemy żadnej potrzeby, aby się za nimi wstać? Dlaczego im nie pomagamy? Zazwyczaj nasza pomoc ogranicza się tylko do wrzucenia kilku złotych na pomoc ofiar wojen, głodu czy innych klęsk żywiołowych. Ale czy robimy to z potrzeby serca? Czy naprawdę myślimy o tych osobach? Uważamy ich za swoich braci? Czy może tylko wrzucamy z litości? Może od niechcenia? A może chcemy uspokoić swoje sumienie? Łatwo jest przecież dać pieniądze. Trudniej zaś dać siebie i swój czas. Czy kiedykolwiek pomyśleliśmy o tym, aby zaangażować się w wolontariat na rzecz misji lub ofiar wojen? Czy przygarnęliśmy, chociaż na święta jakąś rodzinę, która straciła dach nad głową? I to wcale nie musi być rodzina z Aleppo. W Polsce także są rodziny, które nie mają domu. I to nie tylko takie, które straciły je w wyniku katastrofy, ale też takie, które straciły przez przemoc czy

nałogi. Codziennie widzimy na ulicach ludzi głodnych, bezdomnych. Czy myślimy o nich jako o swoich braciach? A przecież Chrystus robi znacznie więcej. Nie tylko jest dla nich bratem, ale także za nich oddał swoje życie. Czy bylibyśmy w stanie oddać swoje życie za takiego człowieka? Za człowieka, który stoczył się na samo życiowe dno? A może byśmy mówili: No bez przesady, trzeba być miłosiernym, ALE... No właśnie „ale”. Słowo klucz. Słowo którym często się oszukujemy. Bo niby słuchamy nauk Chrystusa, ale nie wprowadzamy ich w życie.

Miłość jest bezkompromisowa

Zróbmy mały eksperyment wyrzucając słowo „ale”. Co nam wyjdzie? Np. coś takiego: Trzeba być miłosiernym [ale] nie wobec takich osób. Czyli wychodzi na to, że kategoryzujemy ludzi. Mówimy, że tylko część ludzi ma prawo, by być wobec nich miłosierdnymi, a wobec pozostałych już nie. Wobec znajomych, sąsiadów - tak. Ale wobec nieznajomych? Wobec tych biedaków? Nigdy w życiu. Taka postawa jest niestety często spotykana w naszym środowisku, jeśli nie nawet w nas samych. W takim razie należy zadać sobie pytanie? Czy jesteśmy chrześcijanami? A może poganami? W końcu nawet poganie mi-

łują przyjaciół swoich. W krajach pogańskich właśnie często kategoryzuje się ludzi na „lepszych” i „gorszych”. My zaś jesteśmy powołani do tego, aby uświadamiać i samemu mieć świadomość, że w tym drugim człowieku jest Bóg. Że musimy rezygnować z samych

siebie, ale dla Boga. „Bo kto chce zachować swoje życie, straci je, a kto straci swe życie z mego powodu, ten je zachowa.” (Łk 9, 24). Wielu wśród nas uważa, że szczęście mogą zapewnić pieniądze, kariera, zdrowie, piękne ciało i wiele innych tego typu rzeczy. Bardzo



źródło: unsplash.com

siebie dla drugiego człowieka, a nawet gdy zajdzie taka potrzeba, to oddać za niego życie.

Miłość Boża jest nieskończona

Chrystus naucza, że ziarno musi obumrzeć, aby mogło wydać plon. Tak samo i musi umrzeć nasze „ja”, byśmy nie żyli już dla

często życzymy swoim najbliższym właśnie tego. Jednak życie pokazuje, że osoby które to mają bardzo często są nieszczęśliwe. Ileż to aktorów, biznesmenów, polityków, osób pochodzących ze społecznych elit, prywatnie czują, że są nieszczęśliwe? Nawet jeśli czują przyjemność z wyżej wymienionych rzeczy, to są one bardzo ulotne. Szybko przemijają

i często na starość czy w wyniku tragedii życiowej osoby te czują pustkę. Z drugiej zaś strony znamy przypadki osób, które tak po ludzku nic nie mają, np. osoby żyjące w zakonach, które dosłownie nic nie mają, żadnej własności prywatnej. Mimo to są one szczęśliwe. Nawet w obliczu niepowodzeń życiowych, oni mają w sobie pokój ducha. Dlaczego? Bo przyjęli do swojego życia coś, co jest trwałe i wieczne. Miłość. Miłość Bożą, nieskończoną, niezgłębioną. Bo dlaczego w ogóle ludzie dążą do szczęścia? Dlatego, że Bóg w każdym z nas zaszczepił to pragnienie szczęścia. I dlatego każdy z nas chce je osiągnąć. Niestety wiele osób błędnie otwierając się na Bożą miłość.

Czy żyjemy Bożą Miłością?

Jesteśmy chrześcijanami, ale czy naprawdę swoim życiem głosimy Ewangelię? Ewangelia po grecku to nic innego jak Dobra Nowina. Czy my mamy ją w swoim sercu? Czy czujemy radość z tego, że Chrystus tak nas ukochał, że za nas umarł i zmartwychwstał? A właśnie nasi bliźni tego są najbardziej spragnieni - prawdziwego szczęścia. Nie pieniądze, nawet nie zawsze jedzenia. Ci wszyscy ludzie bezdomni, głodni: im wszystkim najbardziej potrzeba miłości. Bożej miłości. Tego, by ktoś im uzmysłowił, że istnieje Ktoś, kto ich kocha.

W Dziejach Apostolskich widzimy, że Apostołowie wychodzą na ulice miast, poświęcając swój czas, aby głosić Dobrą Nowinę. Czy my też bylibyśmy w stanie to zrobić? Oddać swoje życie Bogu? Porzucić swoje plany, żeby realizować Boży Plan? Czy gdyby doszło do prześladowań, to też mielibyśmy odwagę wyjść i głosić Słowo Boże? Czy jesteśmy gotowi, by głosić więźniom wolność - tę prawdziwą wolność od nałogów, od grzechu? Niewidomym przejrzenie - tym którzy nie dostrzegają swych grzechów? Czy mamy odwagę jak Jan Chrzciciel wypomnieć swoim bliźnim złe postępowanie, jeśli do takowego dochodzi? Czy przyjmujemy z pokorą wolę Bożą? Czy z przekonaniem mówimy: niech nie moja, lecz Twoja wola się stanie? Czy naprawdę jesteśmy w stanie Bogu wszystko oddać?

„Kto straci życie z Mego powodu, zachowa je”

Bóg prędzej czy później to weryfikuje. Weryfikuje stawiając przed nami wiele wyborów, w których musimy się zdecydować, kto lub co jest dla nas ważniejsze. Wybór ten sprowadza się do jednej kwestii: do przyjęcia Boga lub Jego odrzucenia. Jeśli kurczowo trzymamy się przyjemności życiowych, wtedy Go odrzucamy. Jeśli zaś potrafimy te przyjemności odrzucić, zyskuje-

my prawdziwą Miłość, którą jest Bóg. Gdy zaś żyjemy Nim na co dzień upodabniamy się do Niego, tak że jesteśmy gotowi nawet do ofiary z własnego życia, gdyż mamy świadomość że On jest Życiem, które to z kolei wypływa z Miłości.

Skąd pewność, że nie ma miłości większej niż ofiara własnego życia? Dlatego, że w niej nie ma miejsca na kompromis, nie można się z niej potem wycofać. Jest to zawierzenie całkowite, stuprocentowe. Chrystus tak właśnie cię miłuje. Czy ty również Go miłujesz? Tak, aby w imię tej miłości oddać swoje życie za bliźniego?



źródło: unsplash.com



źródło: wikicommons

CANON5 – o następcach Piotraw Kanonie Rzymskim

Ireneusz Mercati

Jeśli jesteś fanem zakolanówek lub mantylek, uwielbiasz tępić herezje, albo po prostu chcesz przeczytać dobry artykuł, musisz koniecznie po niego sięgnąć! CANON5 to unikalne zestawienie pięciu następców świętego Piotra wspominanych w Kanonie rzymskim, czyli I Modlitwie eucharystycznej. Autor wybrał właśnie ich, ponieważ te życiorysy przedstawiają barwne historie lub wiadomo o nich jak na lekarstwo i nie nadają się na osobne teksty. Jednym słowem, nie wahaj się, tylko bierz do czytania!

Kanon Rzymski jako jedna z najstarszych modlitw eucharystycznych przechodził przez wieki licznym zmianom. Podczas soboru watykańskiego II rzekwne dyskutowano co z nim zrobić, modyfikować tekst czy nie. Ostatecznie, zgodnie z sugestią papieża Pawła VI tekst

modlitwy pozostawiono praktycznie bez zmian. Jedną z nich było wzięcie w nawias części imion świętych oraz konkluzji Per Christum Dominum nostrum. Amen i pozostawienie ad libitum (zob. szerz. Memorandum nt. działalności Coetus X De Ordine Missae i nt. wymo-

gów, możliwości i celów reformy Ordo Missae w zgodności z dekretami soborowymi). W tym tekście najbardziej interesowały nas będą właśnie te imiona.

Naturalnie przez te wszystkie lata zmieniano również liczbę świętych wymienianych w Kanonie, kogoś dodawano lub

usuwano, zwłaszcza w pierwszym tysiącleciu. Do grona tych postaci zaliczamy także papieży. Obecnie - o ile kapłan zdecydował się wyliczyć wszystkie osoby - zaraz po wspomnieniu dwunastu apostołów ze świętym Piotrem na czele, o tyle przywołuje się pięciu jego następców - Linusa, Kleta, Klemensa, Sykstusa i Korneliusza. Taki porządek jest prawdopodobnie uwarunkowany kolejnością ich zasiadania na tronie Piotrowym, choć można mieć co do tego wątpliwości, o czym w dalszej części artykułu.

Gwoli rzetelności, należy wspomnieć nieco o źródłach. Omawiając tak odległe życiorysy, najczęściej korzysta się z wszelkich spisów papieży, a tych w historii Kościoła sporządzono całkiem pokaźną ilość (najważniejsze wymienione na końcu tekstu). Najstarszy z nich pochodzi z czasów panowania cesarza Kommodusa (180-192), a stworzył go święty Ireneusz, biskup Lyonu. W trzecim rozdziale trzeciej księgi swego dzieła *Przeciw herezjom* zapisał pierwszych 13 papieży, od Piotra do Eleuteriusza. Drugim wartościowym dokumentem jest „*Spis Tertuliana*”, a trzecim *Catalogus Liberianus*, sporządzony w pierwszej połowie IV wieku,

zestawiający listę papieży z datami panowania cesarzy rzymskich. Każdy z wczesnych spisów różni się od pozostałych, ponadto ten utworzony przez świętego Ireneusza, został potwierdzony przez świętych Hegezypa - pierwszego postapostolskiego historiografa oraz Euzebiusza z Cezarei - historyka Kościoła.

Bezpośredni następca

Święty Linus, bo o nim mowa, jest wymieniany przez większość starożytnych spisów papieży jako bezpośredni następca Księcia Apostołów, świętego Piotra. We wspomnianym dziele świętego Ireneusza, czytamy: „Błogosławieni apostołowie [Piotr i Paweł - przyp. IM] po założeniu i urządzeniu Kościoła [w Rzymie - IM], przekazali jego rządy i episkopat Linusowi. O Linusie wspomina Paweł w swym liście do Tymoteusza^[1]”. Nie można jednoznacznie potwierdzić, że w Drugim Liście do Tymoteusza (2 Tm 4,21) apostoł miał na myśli przyszłego papieża, być może to tylko zbieżność imion.

Nie wiadomo na jakie lata przypadł jego pontyfikat. Część badaczy umieszcza go między 56 a 67 rokiem, inni na lata 64-79, a kolejni wskazują na okres

66-78. Rozbieżności wynikają z dwóch powodów. Po pierwsze nie wiadomo czy Linus przewodził rzymskiej wspólnoty jeszcze za życia apostołów czy dopiero po ich śmierci. Po drugie wobec sporów o datę śmierci Piotra i Pawła, dokładne lata panowania papieża wydają się niemożliwe do ustalenia.

O pochodzeniu Linusa wiemy niewiele, Liber *Potificalis* rzecze, że urodził się w Toskanii, w miasteczku Volterra jako syn Herkulanusa; według niektórych źródeł miała to być Etruria. Chrzest miał przyjąć z rąk samego Piotra. Według legendy poniósł śmierć męczeńską, chociaż nie znamy ani roku, ani dnia śmierci. Ireneusz pisze, że pochowano go przy grobie Księcia Apostołów. Podczas budowy bazyliki watykańskiej, odnaleziono sarkofag z jego szczątkami, choć prawdopodobnie należały one do kogoś innego. Martyrologium Rzymskie wyznacza dzień pamiętki na 23 września. Najwidoczniej tę datę przechowuje w pamięci tradycja. W I Modlitwie eucharystycznej wymieniany był zaraz po świętych Piotrze i Pawle.

Papież zasłynął w Kościele jedną rzeczą - teraz wspomniana gratka dla wielbicieli mantylek i zakolanówek! Otóż,

[1] Święty Ireneusz, *Adversus Haereses*, księga III, rozdział 3.

wstawił się napomnieniem adresowanym do kobiet, aby w świątyni nakrywały głowy welonem. Chodziło mu zapewne o to, by ich fryzury i ozdoby do włosów nie stawały się przyczyną roztargnienia mężczyzn. Nawiasem mówiąc, Linus trzymał się tylko zarządzeń, jakie wprowadzał już święty Paweł: „Każda niewiasta, która się modli albo prorokuje z odkrytą głową, hańbi swoją głowę” (1 Kor 11, 5). Był bowiem powszechny wówczas zwyczaj, że nosiły wyszukane fryzury i zdobiły swoje włosy kosztownościami (1 Tm 2, 9-10). Na ten szczegół zwraca uwagę również święty Piotr (1 P 3, 3-5).

Prawda czy legenda?

Z omawianego zestawienia święty Anaklet (Klet) jest z pewnością najbardziej tajemniczą postacią. Niemalże problemy sprawia samo ustalenie jego imienia, a historycy spierają się najczęściej pomiędzy Anakletem a Kletem. Część wysnuwa hipotezę jakoby miałyby to być dwie różne osoby, inni zaś utożsamiają je ze sobą. Skrajny pogląd neguje w ogóle ich istnienie. Święci Ireneusz, Euzebiusz, Augustyn i Optat używają tych imion zamiennie na określenie jednego papieża, w przeciwieństwie do Tertuliana, który zupełnie go pomija. Co ciekawe,

łacińską wersję imienia papieża – Anacletus uważa się za błędny zapis imienia Anencletus, natomiast formę Klet traktuje się jako bardziej chrześcijańską, dlatego to ona znalazła się w I Modlitwie eucharystycznej.

Dla jeszcze większego za-

kleta od Kleta, przy czym w niektórych wydaniach zaznacza, że pierwszy prawdopodobnie w ogóle nie istniał.

Podobna historia ma się z pochodzeniem papieża. O ile wcześniejsze źródła podają, że był Rzymianinem, o tyle póź-



Początek Kanonu rzymskiego w Missale Romanum z 1962 r.

źródło: wikicommons

mieszania, autorzy umieszczają go w spisach w różnych miejscach. Ireneusz podaje taką kolejność: Linus, Anaklet, Klemens, podczas gdy Augustyn i Optat umiejscowili Klemensa przed Anakletem. Z drugiej strony, Catalogus Liberianus oraz najbardziej prestiżowe Liber Pontificalis odróżniają Ana-

niejsze twierdzą, że Grekiem (w tym Liber Pontificalis). Najczęściej jako jego ojca wymienia się Antiocha. Według świętego Euzebiusza, Anaklet zmarł po 12 latach pontyfikatu. Zgodnie z tradycją przypisuje się mu wyświęcenie 25 prezbiterów i postawienie nagrobka w miejscu pochówku świętego Pio-

tra. Trudno jednak uznać to za fakt, bowiem nie odnaleziono ciała Anakleta obok szczątków pierwszego papieża. Kościół oddaje mu cześć 26 kwietnia.

Biorąc powyższe pod uwagę, należy poddać w wątpliwość czy pontyfik zmarł śmiercią męczeńską za panowania Domicjana, który ogłosił się „panem i bogiem”, co naturalnie musiało wzbudzić sprzeciw chrześcijan. Miano świętego i męczennika Anaklet nosi więc prawdopodobnie zwyczajowo. Przyznasz Czytelniku, że idzie się w całej tej historii pogubić. Zapewne Ciebie, jak i mnie, zastanawia jak taka postać mogła znaleźć się w Kanonie rzymskim, skoro już w pierwszych wiekach nie było pewności co do jej istnienia. Czy można było w nim umieścić postać tak niepewną? Może rzeczywiście wspominamy świętego, który pojawił się w historii Kościoła w wyniku pomyłki?

Czwarty papież

Wreszcie doszliśmy do następcy Piotra, o którym cokolwiek pewnego wiadomo. Mowa o Klemensie zwanym Rzymskim, dla odróżnienia od innego teologa – Klemensa Aleksandryjskiego.

Święty Ireneusz w swoim spisie po wspomnieniu Linu-

sa napisał: „Po nim przychodzi Anaklet. Po im na trzecim miejscu otrzymuje episkopat Klemens, który jeszcze widział apostołów i obcował z nimi. On więc sam słyszał ich kazania i nauki, a w ogóle żyło wówczas jeszcze wielu, którzy słuchali nauki apostołów.”^[2]

Natomiast u świętego Pawła w Liście do Filipian czytamy: „pomagaj im [Ewodii i Syntasze - przyp. IM], bo one razem ze mną trzymały się dla Ewangelii wraz z Klemensem i pozostałymi moimi współpracownikami, których imiona są w księdze życia” (Flip 4,3). Część tradycji widzi w nim późniejszego papieża Klemensa, a zatem ucznia świętego Pawła. Dodatkowo, Tertulian przedstawia go jako ucznia świętego Piotra, który osobiście miał go ochrzcić. Prawdopodobnie znał ich obu, a więc był uczniem apostolskim; tezę tę potwierdza święty Hieronim (De Viris Illustribus, 15).

Pochodzenie Klemensa było przez wieki przedmiotem sporów. Część pisarzy wczesnochrześcijańskich utożsamiając go z bohaterem listu pawłowego, widziała w nim mieszkańca Filipi, zaś w XIX wieku identyfikowano go z konsulem Tytusem Flawiuszem Klemensem, zamordowanym w 95 roku na rozkaz swego kuzyna

cesarza Domicjana. Teza ta wydaje się dość nietypowa, bowiem żaden ze starożytnych nawet nie sugerował takiego rodowodu pontifeksa. Co więcej, większość, w tym święty Hegezypp datuje śmierć Klemensa na czasy panowania cesarza Trajana. Eberhard Nestle, niemiecki biblista i duchowny luterański, studiujący pisma papieża, implikował mu żydowskie pochodzenie. Prawdopodobnie był wyzwoleniec lub synem wyzwolénca z cesarskiego domu. Wiemy przecież, że na dworze Nerona byli chrześcijanie (Flip, 4, 22).

O życiu i śmierci Klemensa nie wiemy właściwie nic. Grecyki apokryf opowiadający o jego męczeństwie powiada, że po nawróceniu Teodory, żony dworzana cesarza Nerwy oraz 4023 osób i dokonaniu kilku cudów, papież został wygnany na Krym (będący ówczesną „Syberią”). Tam ugasił pragnienie dwóch tysięcy wyznawców, skazanych na roboty w kopalniach. Następca Nerwy – Trajan, nie mogąc znieść wiadomości o ciągłym zwiększaniu się liczby wiernych i wybudowaniu przez nich 75 nowych kościołów, rozkazał wrzucić Klemensa do morza z kotwicą uwiązaną u szyi. Coroczny przyptyw i odpływ miał cofnąć wody Morza Czar-

[2] Święty Ireneusz, *Adversus Haereses*, księga III, rozdział 3.

nego o dwie mile, odślaniając szczątki męczennika oświetlone niebiańską aurą. Historia ta, sięgająca nie dalej niż czwartego wieku, jest najprawdopodobniej tylko legendą.

Okolo 868 roku święty Cyryl, podczas swej działalności wśród Chazarów na Krymie, wy-

względem to, że nie zachowała się żadna wzmianka o zaopiekowaniu się przez wiernych wspomnianym kopcem – co byłoby naturalne w tamtych czasach – wydaje się, że był to po prostu zwykły grób.

Klemens wspomniany został po raz pierwszy jako męczennik

tusa Flawiusza, a nie Klemensa.

Kończąc rozważania o czwartym papieżu, nie pomna nie wspomnieć o ogromie jego autorytetu. Był on tak wielki, że przypisywano mu autorstwo różnych dzieł, lecz jedynym pewnym jego pismem jest List do Koryntian. Został on napisany najprawdopodobniej po ustaniu prześladowań za Domicyjana, a więc krótko po 96 roku, choć spory co do dokładnej daty trwają nadal. Dla przykładu, Benedykt XVI jeszcze jako kardynał, opowiadał się za wcześniejszym powstaniem listu, ale już w 2007 roku przychylił się do późniejszej datacji.

List Klementyński jest tym bardziej cenny, że oprócz głębokiej wartości teologicznej, wciąż aktualnej, zawiera informacje o strukturze i zasadach funkcjonowania rzymskiej wspólnoty chrześcijańskiej, w której zaprowadzono ład wewnętrzny. Każdy miał już nakazane czynności w miejscu sobie wyznaczonym. Biskup jako pierwszy spośród prezbiterów sprawował zwierzchnictwo nad diakonami, natomiast świeccy spełniali powinności stosownie do przykazań dla świeckich. Warto zauważyć, że w tym liście z końca I w. po raz pierwszy w literaturze chrześcijańskiej pojawia się greckie pojęcie laikós, które znaczy „członek laosu”, czyli „ludu Bożego”. Jak podaje



Didier Descouens - Święty Anaklet

źródło: wikicommons

kopał z kopca kości wraz z kowcą. Wierząc, że są to relikwie Klemensa, przeniósł je do Rzymu. Na polecenie papieża Hadrian II zostały złożone w bazylice pod wezwaniem świętego, obok szczątków Ignacego Antiocheńskiego (po śmierci dołączy do nich także Cyryl). Ta część opowieści jest ewidentnie bardziej wiarygodna, jednak ze

przez Rufina w roku 400. Mniej więcej od przełomu V a VI wieku nosi on tytuł męczennika na stałe. Część współczesnych historyków uważa, że jego śmierć męczeńska nie miała miejsca, sugerując pomyłkę z wspomnianym konsulem. Z tego samego powodu, twierdzą oni, że do na którym stoi bazylika jego imienia, była wcześniej domem Ty-

św. Euzebiusz z Cezarei list „od bardzo dawna aż po nasze czasy jest czytany publicznie podczas spotkań wiernych”, a to oznacza, że już wtedy uznawany był prymat biskupa Rzymu.

Wobec powyższego, nie należy się dziwić, że historia życia Klemensa – legendarna lub nie – oraz wielkość prestiżu doprowadziła do umieszczenia jego imienia w I Modlitwie eucharystycznej oraz uznania za pierwszego ojca Kościoła i ojca apostolskiego. Wspomnienie obchodzimy 23 listopada (na Wschodzie 24 listopada). Szczegółowo zachęcam również do głębszego zapoznania się z rozważaniami papieża Benedykta XVI o tym świętym, uczynionymi podczas audiencji generalnej 7 marca 2007 roku, z której czerpałem podczas tworzenia tego ustępu.

Pierwszy czy drugi?

W tym momencie mego artykułu, muszę się do czegoś przyznać drogi Czytelniku. Mianowicie, nie wiem o kim pisać. Nie jest to wcale wynik mego nieprzygotowania i lenistwa, a trapiącego mnie niezdecydowania. Mam przed sobą kilka encyklopedii, spisów papieży i dzieł wczesnochrześcijańskich pisarzy. Wszystkie jednolicie twierdzą, że następnym pontifeksem wymienianym w Kano-

nie rzymskim jest Sykstus. Sęk w tym, że jedne optują za Sykstusem I, a inne za Sykstusem II, nolens volens muszę omówić ich obu.

Sykstusów w historii papiewstwa jak na razie było pięciu, przy czym imiona trzech pierwszych zapisywane są także w wersji Xystus, co mogłoby nasuwać przypuszczenia o ich greckim pochodzeniu. O Sykstusie I, jak o niejednym wczesnochrześcijańskim świętym, nie zachowało się wiele informacji. Wiemy, że był następcą Aleksandra i poprzednikiem Telesfora (cudowne imię, nieprawdaż?). Jego pontyfikat umiejscawia się między 114 a 128 rokiem, ale historycy są zgodni, że trwał on około 10 lat; z urodzenia Rzymianin, syn Pastora z rodu Elwidiuszów.

Zgodnie z Liber Pontificalis wprowadził innowacje w dziedzinie liturgii i dyscyplinie kościelnej: tylko kapłani mogli dotykać naczyń liturgicznych; biskupi powracający z Rzymu do swych diecezji musieli przedstawiać listy apostolskie; kapłani powinni po prefacji recytować Sanctus razem z ludem. Za pontyfikatu Sykstusa I rozgorzały spory o datę obchodzenia świąt Wielkanocy, między chrześcijanami pochodzenia azjatyckiego a Rzymianami – judeochrześcijanami, zakończone zgodą na wzajemną tolerancję. Wiele martyrologów wymienia go

jako męczennika, aczkolwiek nie znajduje to odzwierciedlenia w źródłach. Wspominany 3 kwietnia.

Odmierna sprawa ma się z Sykstusem II, obranym na następcę Piotra 30 (31) sierpnia 257 roku, bowiem należał do najbardziej czczonych męczenników pierwszych wieków chrześcijaństwa. Liber Pontificalis określa go jako Greka, syna ateńskiego filozofa, co przez niektórych poddawane jest krytyce. W rzeczywistości papież i uczone miały być niespokrewnionymi ze sobą postaciami, a dzieła drugiego przypisywane pierwszemu. Jeszcze jako prezbiter Sykstus został uwięziony wspólnie z papieżem Stefanem I; w momencie gdy został jego następcą, musiał schronić się w katakumbach, skąd kierował Kościołem.

Po swoim poprzedniku otrzymał niełatwą schedę – spór pomiędzy Rzymem a Kościołami w Afryce i Azji Mniejszej koncentrujący się na sprawie ponownego chrztu heretyków i schizmatyków powracających na łono Kościoła. Polemika na ten temat toczyła się wcześniej przede wszystkim pomiędzy Cyprianem z Kartaginy, który dysponował ogromnym autorytetem, większym niż biskup rzymski a papieżem Stefanem, człowiekiem dość apodyktycznym. W zachowanym

fragmencie listu do biskupa Dionizego z Aleksandrii, Sykstus uzasadniał ważność heretyckiego chrztu, o ile został udzielony w imię Trójcy Świętej. Tylko dzięki swym zdolnościom, zdołał doprowadzić do pojednania z Cyprianem i zażegnać rozłam w Kościele. Dowodzi to pokojowego usposobienia papieża, co podkreślił również diakon Poncjusz w swej rozprawie *Vita Cyprian* nazywając go *bonus et pacificus sacerdos* (dobrym i pokojowym kapłanem).

Krótko przed rozpoczęciem pontyfikatu Sykstusa, cesarz Walerian wznowił prześladowania chrześcijan. Zaś na początku sierpnia 258 roku wydał edykt nakazujący wymordować biskupów, prezbiterów i diakonów (*episcopi et presbyteri et diacones incontinenti animadvertantur* – z listu świętego Cypriana do Successusa, biskupa Abbir Germanicana). Sykstus był jedną z pierwszych ofiar cesarskiego dekretu - *Xistum in cimiterio animadversum sciatis VIII. id. Augusti et cum eo diacones quattuor*^[3] napisze we wspomnianym liście Cyprian. Rzymscy agenci mieli zaskoczyć papieża podczas sprawowania liturgii w katakumbach Pretekstata, gdy siedział na tronie i przemawiał do wiernych. Oprócz niego aresztowano także kapłanów

razem z diakonami: Agapitem, Felicissinem, Januarym, Magnussem, Stefanem i Wincentym. Wszyscy zostali ścięci mieczem. Według jednej z wersji dokonano tego natychmiast, podług bardziej prawdopodobnej, najpierw przywieziono ich przed trybunał, a po orzeczeniu wyroku zaprowadzono z powrotem na cmentarz by wykonać egzekucję.

Kilka dni później śmierć poniósł uczeń Sykstusa – diakon Wawrzyniec. Tradycja podaje, że jako zarządcę majątku kościelnego przypiekano go na ruszcie, aby wydał „skarby” Kościoła. Legenda, cytowana przez świętego Ambrożego z Mediolanu, głosi, iż Wawrzyniec napotkał papieża w drodze na szafot. Wawrzyniec miał zawołać: „Gdzie idziesz Ojciec bez syna? Jakże obejdziesz się bez swojego diakona? Nigdy nie odprawieś Mszy świętej bez swej sługi, czymże więc mogłem sięgnąć na siebie niełaskę twoją?” Na co Sykstus składając na czoło diakona pocałunek, odpowiedział: „Dla mnie, zniszczonego wiekiem, jest przygotowana mniejsza próba. Ciebie czekają o wiele większe cierpienia, ale też i piękniejsza korona chwały cię czeka.”

Razem z papieżem na cmentarzu świętego Kaliksta spoczęli

jego czterej diakoni - January, Magnus, Stefan i Wincenty. Pontifeksa pochowano w krypcie papieskiej, a w kaplicy za ołtarzem schowano splamiony krwią tron biskupi. Jan Chrzciel de Rossi odkryje w 1854 roku ich relikwie wraz z umieszczonym przez Damazego I epitafium na cześć Sykstusa. Wspominany 7 sierpnia.

Mimo lektury wielu rozważań nadal nie udało mi się jednoznacznie ustalić o którego Sykstusa chodzi w Kanonie. Dokumenty nie są w stanie udzielić mi prawidłowej odpowiedzi. Wiele wskazywałoby na to, że chodzi o Sykstusa II, jednakże dlaczego pojawia się w modlitwie przed Korneliuszem, skoro był jego następcą? Patrząc z tej perspektywy należałoby chyba promować wersję z Sykstusem I, poprzednikiem Korneliusza. A może po prostu Korneliusz miał znaleźć się obok Cypriana, z którym zazwyczaj jest przedstawiany? Sam już nie wiem mój Czytelniku, dlatego na wszelki wypadek myślę o obu papieżach, ilekroć imię Sykstus pada z ust kapłana.

Pokora i roztropność

Czytelniku, czy czytałeś i pamiętasz mój poprzedni tekst Jak zostać świętym będąc an-

[3] Catholic Encyclopedia, <http://www.newadvent.org/cathen/14031c.htm>, dostęp: 2.02.2018 r.

typapieżem? z poprzedniego numeru „Adeste”? Jeśli nie, to pobieraj go czym prędzej! Bo wiem zapewne dostrzeżesz podobieństwa między tamtym artykułem a tym fragmentem. Po zażegnaniu pierwszej schizmy w Kościele w roku 235, spokój i harmonia nie trwały długo. W następstwie męczennickiej śmierci papieża Fabiana w 250 roku podczas prześladowań za cesarza Decjusza, tron rzymskiego biskupa pozostawał nieobsadzony przez ponad rok. Świadomie odkładano wybór sukcesora, a rządy sprawowano w sposób kolegialny, przewodził im zdolny prezbiter Nowacjan. Szereg kapłanów – w tym Mojżesz, kandydat na papieża – pozostawało w więzieniach.

Gdy cesarz udał się na wyprawę przeciwko barbarzyńcom, represje znacznie osłabły, a wspólnota postanowiła dokonać wyboru. Był marzec 251 roku. Jak przekazuje święty Cyprian, udało się wtedy zebrać 16 biskupów, którzy niespodziewanie obrali papieżem Korneliusza, syna Kastiusza. Jakież musiało być zdziwienie Nowacjana, który będąc najpoważniejszym kandydatem – dziś powiedzielibyśmy papabile – przegrał z kretelem. Nie dziwi, że kilka tygodni później zdołał on nakłonić (niektórzy autorzy piszą o prze-

kupstwie) trzech biskupów by udzielili mu sakry i przy poparciu rygorystów z Galii, Afryki i Azji Mniejszej został wybrany antypapieżem, drugim w historii.

Pobudki osobiste takiego postępowania Nowacjana nie mogły brzmieć dobrze, więc usprawiedliwił swoje odejście faktem, iż Kościół był zbyt łagodny wobec tych, którzy podczas prześladowań wyparli się wiary, a po ich ustaniu wyrazili chęć powrotu (tzw. lapsi). To właśnie do schizmatyków, zwanych od imienia swego przewodnika nowacjanami, Cyprian z Kartaginy napisze swe słynne *extra Ecclesiam salus non est*. Co ważne, św. Cyprian nie wymyślił nowej formuły, a jedynie wyraził to, o czym byli przekonani już pierwsi chrześcijanie, że do zbawienia potrzeba chrztu i wiary (Mk 16,16). Podobne wnioski wysuwano także z przypowieści o krzewie winnym (J 15,6) i słów Jezusa zapisanych przez św. Mateusza (Mt 18,17). Potwierdzeniem tych przekonań były również twierdzenia św. Pawła, który wielokrotnie mówił o Chrystusie jako Głowie Ciała, którym jest Kościół.

Wróćmy jednak do Korneliusza. Namiestnik Chrystusa mimo całej sprawy z nowym antypapieżem, przystąpił rzecznie do reorganizacji Kościoła, który

mimo prześladowań rósł w siłę, ponieważ coraz więcej osób chciało przyjąć chrzest. W swym liście – pierwszym papieskim liście napisanym po łacinie – do antiocheńskiego biskupa Fabiusza, znanym dzięki Historii kościelnej Euzebiusza z Cezarei, papież pisał: „Mamy 46 prezbiterów, 7 diakonów, 7 subdiakonów, 42 akolitów, 52 ostiariuszy oraz ponad 1,5 tysiąca wdów i dzieci” [zapewne sierot po męczennikach – przyp. IM].^[4] Na tej podstawie naukowcy szacują, że gmina rzymska liczyła wtedy od 10 do 50 tysięcy dusz, choć ta druga liczba wydaje mi się przesadzona.

Następca Księcia apostołów był człowiekiem skromnym; przed elekcją przeszedł wszystkie stopnie kościelnej hierarchii i bez wątpienia znał problemy zwykłych wiernych. Zapewne z tego powodu odznaczał się życzliwym stosunkiem do lapsi, optując za powtórny ich przyjęciem do wspólnoty, pisząc o otwartej drodze „pojemnej jak arka Noego”. Dzięki poparciu biskupa Cypriana z Kartaginy oraz Dionizego z Aleksandrii, który zyskał poparcie biskupów afrykańskich, schizmatycy zostali pokonani. Grupa Nowacjana została potępiona na synodzie rzymskim i obłożona ekskomuniką.

[4] M. Gryczyński, *Poczet papieży*, Publicat SA, Poznań, 2006, s. 26.



Henryk Siemiradzki - Dirce chrześcijańska; Chrześcijanka umęczona za czasów prześladowań Nerona

W czerwcu 252 roku prześladowania chrześcijan znów przybrały na sile. W Rzymie wybuchła epidemia, więc dla przebłagania bóstw urządzano publiczne procesje i modły, składano ofiary. Chrześcijanie nie mogli w nich uczestniczyć, dlatego podburzony tłum rzucał się na chrześcijańskie domy modlitwy. Atakowano wiernych i zabijano, uważając, że to oni są sprawcami zarazy, bo swoim kultem wywołali gniew bogów. Zgodnie z jedną z wersji, w takiej właśnie sytuacji poniósł śmierć męczeńską Korneliusz. Inna zaś mówi, że został skazany przez cesarza Trebonianusa Gallusa na wygnanie do Civitavecchia, gdzie źle traktowany – zmarł w czerwcu 253 roku. Pochowano go w katakumbach Kaliksta, lecz nie w krypcie papieskiej

a S. Lucina. Natomiast epitafium nad grobem sporządzono – po raz pierwszy w dziejach – w języku łacińskim.

Kościół od wieków łączy postacie świętych Korneliusza i Cypriana. Święty Hieronim napisał nawet, że obaj cierpieli tego samego dnia, tylko w różnych latach i już za jego czasów roczną rocznicę Korneliusza liturgia rzymska łączyła ze wspomnieniem Cypriana. Nie powinno więc dziwić, że obaj zostali włączeni do Kanonu rzymskiego. Obecnie liturgicznym dniem pamięci jest 16 września.

Zakończenie

Tak oto doszliśmy do końca naszego zestawienia. Mam nadzieję, że mój tekst nie znudził Cię, choć pewnie czasami

źródło: wikicommons pachniało Wikipedią. Być może teraz, ilekroć usłyszysz podczas mszy o świętych Linusie, Klecie, Klemensie, Sykstusie i Korneliuszu, wspomnisz ich wspólnie żywoty oraz to co uczynili dla rodzącego się Kościoła.

Ten tekst powstał w oparciu o książkę Michała Gryczyńskiego Poczet papieży, encyklopedię katolicką, pisma (spisy) świętych autorstwa – głównie – Cypriana z Kartaginy, Euzebiusza z Cezarei, Ireneusza z Lyonu, Hieronima ze Strydonu oraz Tertuliana (wszystkie dostępne w internecie), nauki wygłoszonej przez papieża Benedykta XVI podczas audiencji generalnej 7 marca 2007 roku, a także o biografie papieża, z Liber Pontificalis na czele.

Stworzenie i Stwórca



Piotr Sudoł

Stworzenie, czyli kreacja, jest niewątpliwie jednym z najbardziej skomplikowanych i pełnych tajemnic tematów w teologii katolickiej. Od prawie 2000 lat największe umysły chrześcijaństwa interpretują opisy Genesis, odnajdują Boga w pięknie natury i jej praw. Ład i porządek całego kosmosu przyciągają tych wielkich ludzi, jak i szarych zjadaczy chleba. Co jednak Pan Bóg nam



źródło: stocksnap.io

objawia przez Stworzenie i czym ono tak właściwie jest i jak przebiega? Dlaczego świat został stworzony tak, że istnieje na nim zło, które od Boga pochodzić nie może? Dlaczego mimo doskonałości świata cierpimy? Jakie wskazówki daje nam Pan Bóg przez dzieła stworzone w swojej Mądrości? Jak się ma ewolucja do Genesis? Czy świat jest odwieczny? Na te nurtujące pytania odpowiedzi znajdziemy na kartach Księgi Rodzaju, a także w pismach św. Augustyna czy chociażby pracach ks. prof. Hellera. Zgłębnymy zatem uważnie temat Stworzenia.

Pierwsze rozdziały Księgi Rodzaju

Zdecydowanie jedną z najtrudniejszych do zrozumienia i prawidłowego odczytania ksiąg, jakie zawiera Biblia jest Księga Rodzaju, Genesis. W czasach nam współczesnych, kiedy duży nacisk kładzie się na racjonalizm i naukowość całej rzeczywistości niejednokrotnie próbuje się w środowiskach antykościelnych ukazywać tę księgę jako zbiór kłamstw i prób wy-

tłumaczenia pewnych zjawisk w świecie. Wynika to głównie z nieznamomości genezy Księgi Rodzaju i zamysłu człowieka, który pod natchnieniem Boga ją pisał. Księga Rodzaju, mimo iż pierwsza w kolejności w Biblii nie powstała pierwsza chronologicznie. Pierwsze jej rozdziały opowiadające o stworzeniu świata i człowieka zostały napisane podczas niewoli babilońskiej ku pokrzepieniu serc narodu wybranego. Poemat o Stworzeniu miał przypomnieć

i ukazać potęgę i chwałę Stwórcy, Jahwe. Co ciekawe, poemat ten miał również inny cel poza pokrzepieniem ludu wiernego. W Babilonii spotykana była szkodliwa astrologia i fałszywa kosmologia. Dlatego właśnie brak odniesień kosmologicznych do Boga w Genesis. Poza tym, monoteistyczny judaizm stał w sprzeczności z mnogością bóstw. Zaś w mitologiach politeistycznych opis stworzenia świata poprzedza tzw. teogonia, czyli opowiadanie o powstaniu

bogów. Nieprzypadkowo w Genesis brakuje takiej wzmianki. Dla monoteistycznych Żydów samo imię Boga jest wyjaśniające "Jestem, Który Jestem" - JHWH. Bóg jest. Nie powstał z materii ani chaosu (por. M. Heller, Stworzenie i początek Wszechświata, rozdział I, 2.).

Od strony literackiej poemat o stworzeniu jest schematyczny. Przykładowo powtarzają się słowa "Rzekł Bóg" albo też "Niech się stanie". Dalej, siedem razy pojawiają się słowa "I stało się", a imię Boga 35 razy (7x5). Liczba 7 oznaczająca pełnię, ład, całość uporządkowaną przez Boga. Widać zatem obecność w pierwszym rozdziale Genesis głębokiej symboliki liczb. Wskazuje to jasno, że poemat o Stworzeniu czyli tzw. Heksaameron nie jest w żadnym wypadku dosłownym, historycznym opisem dzieła Stwórcy. Nie wolno interpretować pierwszych rozdziałów Genesis jako naukowych czy też dosłownych opisów powstania Wszechświata i ludzkości. Jest to kompletnie bezcelowe i niezgodne z nauką Kościoła.

Przez Księgę Rodzaju została objawiona również bardzo ważna prawda - Bóg nie stworzył zła, a wszystko co stworzył jest dobre. Zło, czyli brak dobra jest skutkiem upadku człowieka. Zło zarówno moralne jak i fizyczne. Tak, człowiek

sam sobie upadkiem zgotował taki los. Jako ludzie często szukamy przyczyny naszych cierpień, często w obliczu trudności obwiniamy Boga o nasz krzyż, który musimy nieść. W obliczu doskonałości i piękna Stworzenia człowiek musi żyć z konsekwencjami grzechu pierwszych rodziców, które spadły na całą ludzkość.

Boski zamysł

"Wszystkie Pańskie dzieła, błogostawcie Pana" słyszymy w Pieśni trzech młodzieńców (Dn 3, 51-90). Całe stworzenie nie jest doskonałym zamysłem Stwórcy. Stwórca jest obecny w swoim Stworzeniu, o czym pisze Augustyn w swoich Wyznaniach (IV.9) "Bóg,

który niebo i ziemię stworzył i napełnia je swoją obecnością, bo właśnie przez takie napełnianie stworzył je". Jest to wskazówka bardzo pomocna w ludzkim poszukiwaniu Pana Boga. Stwórca jest zawsze obecny w swoim dziele, tak jak w pewien sposób rzemieślnik jest obecny w tym, co zrobił. Kosmos, natura, wszystko, co zostało stworzone przez Słowo Boże świadczy o Bogu. Piękno, które obserwujemy, słyszymy, czujemy przywodzi na myśl najwyższe piękno i dobro. W Księdze Rodzaju słusznie napisano, że wszystko, co Bóg stworzył

było dobre. Bóg z samej swojej istoty nie mógł uczynić niczego złego. Dlatego całe stworzenie, wbrew różnym herezjom, np. gnostycznych manichejczyków jest dobre. Nic złego nie zostało stworzone przez Boga, bo zło jest jedynie brakiem pewnych rzeczy. W Boskim zamysle stworzenia istnieje również piękna hierarchia - od roślin, przez zwierzęta aż do ludzi. Człowiek jako stworzony na obraz Boży ma prawo władać sprawiedliwie nad zwierzętami i roślinami. Człowiek jednak nie może marnotrawić bezrozumnie darów Bożych. Nie wolno mu zabijać zwierząt w błahych celach. Nie wolno mu niszczyć natury wedle własnego upodobania. Na tym polega harmonia Stworzenia, którą człowiek może napotkać w swoim krótkim ziemskim życiu - rozsądne korzystanie z Bożych darów i porządek, spokój, ład. Natura jest uporządkowana, bo została stworzona przez Doskonałego. Boski zamysł, choć tak precyzyjny może być realizowany przez przypadek (por. M. Heller, Stworzenie i Początek Wszechświata s.134-143). Z ludzkiej perspektywy wydaje się być to niezrozumiałym i wręcz irracjonalnym stwierdzeniem. Natomiast warto wziąć pod uwagę to, że Pan Bóg postrzega wszystko zupełnie inaczej niż ludzie. Nie stanowi dla Stwórcy żadnego proble-

mu zaplanowanie czegoś przy pomocy przypadków. Znane jest przysłowie: "Przypadek to świeckie imię Ducha Świętego", które dokładnie oddaje to, co Pan Bóg może uczynić z użyciem przypadku. Pamiętać trzeba również o poglądach Leibniza - żyjemy w najlepszym możliwym świecie i jedynym z możliwych. Jest to duża wskazówka w poszukiwaniu Stwórcy.

Ewolucja i Wielki Wybuch

W ciągu dwóch ostatnich wieków teologia i filozofia katolicka stanęły przed nowymi, wielkimi wyzwaniami - teorią ewolucji i teorią Wielkiego Wybuchu w świetle nauczania Kościoła. Wbrew pozorom, które rzucają się ludziom jako pierwsze w oczy czy też wbrew poglądom radykalnych scjentystów, obie te teorie nie stoją w sprzeczności z katolicką teologią stworzenia i interpretacją Genesis. Już w starożytności św. Augustyn pisał o tym, że Bóg powołuje byty do istnienia wtedy, kiedy uzna to za słuszne (Dokładniej Bóg powołuje niektóre byty do zaistnienia dopiero jako zarodki, by później się rozwinęły do pełnej postaci - pisał o tym św. Augustyn w dziele pt. Komentarz słowny do Księgi Rodzaju). W temacie teorii ewolucji warto również wspomnieć o tym, że teoria kreacjonizmu

jest zdecydowanie sprzeczna z nauką katolicką. Już w XVII wieku filozof Leibniz stwierdził, że ten Stwórca jest lepszy, który nie musi poprawiać raz stworzonego dzieła. W przypadku teorii kreacjonizmu ten pogląd jest zdecydowanie odrzucany, a tym samym mało logiczny - Stwórca ingeruje cały czas, aby ciągle poprawiać to, co uczynił. Ten pogląd Leibniza również warto zastosować wobec tych, którzy stosują takie poglądy jak np. "Bóg od zapychania dziur", czyli zapełnianiem braków w wiedzy przyrodniczej działaniem Boga. Co zaś się tyczy Wielkiego Wybuchu zostało już parę razy interpretowane przez katolików (Whittaker, ks. Lemaitre, Pius XII). Pius XII niejednokrotnie odwoływał się do Wielkiego Wybuchu. W 1951 roku stwierdził nawet, że teoria ta przemawia za istnieniem Boga. Ponadto, biblijne Fiat lux może być właśnie wspomnieniem owego Wielkiego Wybuchu.

Ludzkie uczestnictwo w dziele Stworzenia

Cały Wszechświat, a w tym również ludzie są podtrzymywani w istnieniu przez Boga (creatio continua). Jednak człowiek, jako stworzony na obraz Boga, może również na pewien sposób stwarzać. Pierwszym przykładem jest chociażby cy-

wilizacyjny i techniczny rozwój ludzkości - człowiek korzystając ze swojego rozumu, którym obdarzył go Bóg stwarza kolejne przedmioty i stara się je mądrze wykorzystać. Zapewnia sobie i innym ludziom lepsze środki do ziemskiego życia. Człowiek stwarza przy użyciu rozumu danego od Pana i swoich rąk. Jednak jest jeszcze drugi przykład tego, jak człowiek może uczestniczyć w dziele Stworzenia. Już w Księdze Rodzaju Pan Bóg wydał polecenie: "Bądźcie płodni i rozmnażajcie się". Tym samym człowiek otrzymał odpowiedzialne i piękne zadanie - przekazywania dalej życia, które otrzymał od Boga. Ten rodzaj uczestnictwa w Stworzeniu jest wyjątkowo tajemniczy i godzien szacunku. Człowiek wspólnie z Stwórcą tworzy nowego człowieka! Człowiek (por. Fulton J. Sheen Troje do Pary, rozdział 13) Człowiek daje ciało, Bóg zaś wiadomym tylko dla siebie sposobem stwarza duszę (tamże). W ten oto sposób rodzaj ludzki uczestniczy w najbardziej chwalebny sposób uczestniczy w przekazywaniu życia - wielkiego daru.

Świat stworzony a cierpienie i śmierć

Mimo całego dobra i piękna w świecie stworzonym istnieje w nim również zło, a co za



źródło: stocksnap.io

tym idzie cierpienie oraz śmierć. Dlaczego Bóg na to pozwala? Wiemy, że po upadku człowieka nastąpiły bolesne konsekwencje dla całej ludzkości: kobieta miała rodzić w bólach, a mężczyzna w pocie czoła pracować (Rdz 3, 16-19). Cierpienie stało się nieodłącznym elementem całego świata stworzonego. Ludzkość przestała żyć w idealnym raju bez chorób i trudów. Od tamtej pory każde pokolenie odczuwa konsekwencje czynu pierwszych rodziców. Grzech pierworodny zaburzył harmonię

doskonałego Stworzenia. Natura ludzka stworzona jako dobra również wtedy została skażona. Odnowił ją dopiero nowy Adam - Chrystus. Bóg mimo doskonałości całego Stworzenia dopuszcza jednak cierpienie i śmierć. Dlaczego? Ponieważ kogo kocha, tego doświadcza (Mdr 3,6). Poza tym, cierpienie przypomina nam, że nie jesteśmy jako ludzie najdoskonalsi i najwyżsi w świecie. Śmierć zaś nam przywodzi na myśl kruchość ludzkiego życia - "Marność nad marnościami i wszystko marność" jak mawiał

Kohelet - które wydaje się być długie, a jest ulotne jak mgła. Piękno świata stworzonego jest jedynie delikatnym odbiciem piękna Nieba. Piękno ludzkiego życia jest drobne wobec życia wiecznego. Nasze nieustanne cierpienia, trudy i przemijanie ciągle nam przypominają, że istnieje życie, które zaspokoi nas na zawsze.

Stwórca i Stworzenie

Jeżeli człowiek chciałby do końca zgłębić temat Stworzenia, niewątpliwie nie starczyłoby mu na to życia. Tajemnica tego zagadnienia pozostanie niezbadaną. Widzimy doskonale efekty tego, co uczynił Stwórca, ale samo jego działanie zawsze pozostanie dla nas pewnym misterium. Możemy jednak przez naturę odnaleźć Stwórcę. Możemy szukać Boga przez piękno i harmonię obecne w świecie. Bo przez świat stworzony objawia się chwała Pana Boga w Trójcy Jedynej. W poetyckich słowach oddał to Franciszek Karpiński:

*Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon, Boże wielki!*

Niech te słowa będą nam pomocne w naszych refleksjach nad tajemnicą Stworzenia. ✝



źródło:stocksnap.io

Męczennicy z Peru



Krzysztof Działlik

Ojciec Michał i Ojciec Zbigniew, franciszkanie konwentualni. Zakonnicy, misjonarze, od dwóch lat błogosławieni. Dlaczego dwóch młodych mężczyzn z południa Polski znalazło się w dalekim Peru i dlaczego Kościół wyniósł ich do godności błogosławionych?

O. Michał Tomaszek urodził się 23 września 1960 roku w Łekawicy (wsi koło Żywca, leżącej u podnóża Beskidu Małego). Miał troje rodzeństwa, a gdy miał 9 lat został pólsierotą. Pochodził z bardzo religijnej rodziny. W 1980 roku wstąpił do nowicjatu oo. franciszkanów konwentualnych. W podaniu o przyjęcie do nowicjatu napisał

m.in. że jego pragnieniem jest praca misyjna. Śluby wieczyste (postuszeństwa, czystości i ubóstwa) złożył 8 grudnia 1985 roku w Krakowie. 7 czerwca 1986 roku we wrocławskim kościele św. Karola Boromeusza, z rąk Henryka kard. Gulbinowicza przyjął święcenia diakonatu, a niecały rok później ojciec diakon Michał Tomaszek zo-

stał w krakowskiej bazylice św. Franciszka z Asyżu wyświęcony na kapłana. Następnie przez dwa lata pracował we franciszkańskiej parafii w Pieńsku jako wikariusz, był też odpowiedzialny za katechizację, prowadził także zajęcia z dziećmi niepełnosprawnymi. Po otrzymaniu w lipcu 1989 roku pozwolenia od prowincjała na wyjazd

misyjny, udał się do Pariacoto w Peru, dołączając do swoich dwóch współbraci o. Jarosława Wysoczańskiego i o. Zbigniewa Strzałkowskiego, którzy od roku prowadzili pracę misyjną wśród Peruwianczyków.

Ojciec Zbigniew Strzałkowski urodził się 3 lipca 1958 roku w Tarnowie. Mieszkał natomiast wraz z rodzicami i dwójką starszych braci w leżącej nieopodal Tarnowa wsi Zawada. Rodzice Zbyszka byli rolnikami. We wrześniu 1979 roku wstąpił do Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych, w podaniu o przyjęcie zgłaszając gotowość do służby Bogu, gdziekolwiek go powoła, zarówno w kraju jak i na misjach. Jako swoje wzory do naśladowania w życiu zakonnym przywołał św. Franciszka i bł. Maksymiliana Kolbego.

Był jednym z założycieli Ruchu Ekologicznego św. Franciszka z Asyżu. W grudniu 1984 złożył śluby wieczyste, niedługo po nich, w podaniu do prowincjała ponownie wyraził gotowość do wyjazdu na misje. Świecenia diakonatu przyjął 15 czerwca 1985 roku w Krakowie, a 7 czerwca 1986 roku został we Wrocławiu wyświęcony na kapłana (na tej samej Mszy Świętej święcenia diakonatu przyjął o. Michał Tomaszek). Po święceniach kapłańskich, pełnił funkcję wicerektora w Niższym Seminarium Duchownym w Legnicy. Był

również katechetą, wychowawcą oraz pomagał duszpastersko w legnickiej parafii. Po przygotowaniu we wrocławskim klasztorze do wyjazdu na misje.. W listopadzie 1988 r., wraz z o. Jarosławem Wysoczańskim OFMConv wyruszył przez Warszawę i Moskwę do Limy, a po kilku miesiącach nauki języka hiszpańskiego przeniósł się do nowej placówki misyjnej w Pariacoto, aby pełnić tam posługę duszpasterską. Ojcowie Zbigniew i Jarosław byli jednymi z pierwszych zakonników pracujących w Pariacoto, położonym w Andach.

Praca misyjna

Trzech franciszkanów miało przed sobą niełatwe zadanie, nie było tam bowiem nigdy wcześniej kapłana, który obejmowałby mieszkańców Pariacoto i okolic stałą opieką duszpasterską. Sytuacja w Peru nie napałała optymizmem – od prawie dekady toczyła się tam wojna domowa pomiędzy peruwiańskim rządem a terrorystycznymi organizacjami Sendero Lumino (Świetlisty Szlak) i Ruchem Rewolucyjnym im. Tupaca Amaru. Wojna ta była bardzo krwawa, życie w niej straciło około 70 tysięcy osób. Terrorysty w swoich działaniach uciekali się do brutalnych działań, także wobec osób cywilnych, nierzadko doko-

nując masakr na mieszkańcach wsi, którzy nie popierali działań bojówek.

Zarówno o. Michał, jak i o. Zbigniew mieli świadomość, że decyzja o wyjeździe na misje do Pariacoto może nieść ze sobą niebezpieczne konsekwencje. O. Michał Tomaszek podczas swojej pożegnalnej Mszy Św. w Polsce powiedział: „Jeśli trzeba będzie dla sprawy Bożej złożyć ofiarę życia, nie będę się wahał”. Gdy współbracia o. Zbigniewa Strzałkowskiego mówili mu o wojnie domowej w Peru, co wiązało się z niebezpieczeństwem, nawet zagrożeniem życia dla przebywających tam osób, odpowiadał: „Gdy się jedzie na misje, trzeba być gotowym na wszystko”.

Franciszkanie z zapałem zabrali się do powierzonej im katechizacji mieszkańców Pariacoto i okolic. Te „okolice” nierzadko były bardzo odległe od Pariacoto, ojcowie pod swoją opieką mieli kilkadziesiąt punktów dojazdowych. Franciszkanie zajęli się pracą duszpasterską, sprawowali sakramenty, zajęli się katechizacją oraz odwiedzaniem swoich parafian. Zawsze byli otwarci na problemy i zapotrzebowania wiernych, starając się w miarę możliwości im pomóc. Z pomocą organizacji humanitarnych franciszkanie mieli wy- mierny udział w zapewnieniu

Pariacoto i okolicom wody, oraz wyposażenie ich w podstawowe sanitariaty. Zadbali także o opiekę zdrowotną dla mieszkańców. Ojciec Michał miał zdolność łatwego nawiązywania kontaktów szczególnie z dziećmi i młodzieżą. Ewangelizował ich przez śpiew i muzykę. Ojciec Zbigniew, mimo braku wykształcenia medycznego, zajmował się opieką nad chorymi. Był człowiekiem odpowiedzialnym, pracowitym, miał duże zdolności przywódcze i organizacyjne.

Męczeństwo i.... co dalej?

9 sierpnia 1991 roku bojówkarze Świetlistego Szlaku wdarli się do klasztoru w Pariacoto i uprowadzili stamtąd o. Michała i o. Zbigniewa, terroryści zapytali ojców o innych zakonników, ci odparli: „My jesteśmy kapłanami, postulantów zostawcie!”. W ten sposób prawdopodobnie uratowali życie trójce młodych postulantów będących wówczas w klasztornej kaplicy. Terroryści umieścili ojców i s. Bertę Hernandez (która dobrowolnie poszła za ojcami) w samochodzie i wywieźli poza Pariacoto, następnie wyrzucili s. Bertę z samochodu. Senderysty zarzucili zakonnikom, że „poniżają lud rozdzie-

lając żywność pochodzącą od imperialistów, że religia jest opium dla ludu, że głosząc pokój i podejmując działania ewangelizacyjne oraz charytatywne usypiają lub po to, aby masy nie podejmowały zrywu rewolucyjnego”^[1], a następnie zamordowali franciszkanów: o. Michała Tomaszka strzałem w tył głowy, a o. Zbigniewa Strzałkowskiego strzałami w głowę i kręgosłup. Przy ciałach zakonników zostawili kartkę z napisem „Tak umiერają lizusy imperializmu”. Śmierć franciszkanów wstrząsnęła miejscowymi, których tak umiერowali. Na pogrzebie zgromadziło się mnóstwo ludzi, którzy chcieli oddać hołd zamordowanym. Męczenników pochowano w parafialnym kościele w Pariacoto.

W sierpniu 1996 roku rozpoczęto proces beatyfikacyjny Męczenników z Pariacoto. 5 grudnia 2015 roku w Chimbote, o. Michał Tomaszek, o. Zbigniew Strzałkowski oraz ks. Alessandro Dordi, który również został zamordowany przez terrorystów Świetlistego Szlaku zostali beatyfikowani. Kardynał Angelo Amato, który przewodniczył Mszy beatyfikacyjnej w kazaniu powiedział m.in.: „Nasi męczennicy mówili językiem Bożej mi-

łości. [...] Ich przepowiadanie i zachowanie, ich apostołstwo i akceptacja męczeństwa były lekcjami miłości, ponieważ miłość zwycięża nienawiść i gasi zemstę. [...] Miłość jest prawdziwym świetlistym szlakiem, który przynosi życie, a nie śmierć, rodzi pokój, a nie wojnę, tworzy braterstwo, a nie podziały. [...] Swoją obecnością trzech błogosławieni męczennicy, zapalali w swojej misji ogień ewangelicznej miłości, pomocy potrzebującym, obrony najmniejszych i słabych.”

W lipcu 2016 r., podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie, papież Franciszek podczas krótkiej prywatnej wizyty nawiedził bazylikę pw. św. Franciszka, odmówił przy ołtarzu z relikwiami Błogosławionych modlitwę o pokój i ochronę przed terroryzmem i ucałował ich relikwiarz oraz poświęcił różańce z relikwiami Męczenników z Pariacoto. Ojciec Święty odbył także krótką rozmowę z o. Jarosławem Wysoczańskim, który razem z o. Michałem i o. Zbigniewem tworzył misję w Peru.

“Ich krew do nowego życia budzi nas”^[2]

[1] świadectwo s. Berty Hernandez

[2] Tytuł pochodzi z hymnu beatyfikacyjnego



Ojciec Zbigniew Strzałkowski podczas wędrówki do górskiej wioski

Źródło: meczennicy.franciszkanie.pl

Żyjemy obecnie w niełatwych czasach, co trochę słyszemy o różnego rodzaju aktach terroryzmu dziejących się wcale nie tak daleko od Polski. Dlatego też ojcowie franciszkanie objęli w maju 2016 roku duszpasterską opieką inicjatywę wiernych - „Krucjatę różańcową w obronie przed terroryzmem”, której patronują błogosławieni oo. Michał i Zbigniew. Jak można przeczytać na stronie internetowej oo. franciszkanów: „Celem Krucjaty jest modlitwa o Boży pokój

na ziemi przez wyzwolenie ludzkości z grzechu nienawiści, rodzącego podziały między ludźmi i narodami. Jest to również modlitwa w obronie przed różnymi formami terroryzmu”. Członkowie Krucjaty zobowiązują się do modlitwy na różańcu, prosząc o pokój i obronę osób zagrożonych terroryzmem za wstawiennictwem bł. o. Michała i bł. o. Zbigniewa. Do modlitwy różańcowej członkowie Krucjaty mogą również (w wolności) dołączyć ofiarowanie w inten-

cji obrony przed terroryzmem uczynków miłosierdzia czy nawiedzanie miejsc kultu błogosławionych Męczenników z Pariatoto.

Osobiście postacią błogosławionych zainteresowałem się przypadkiem, widząc informację o ich beatyfikacji na którymś z franciszkańskich fanpejdży. Z ciekawości przeczytałem ich biografie i nie ukrywam, o. Zbigniew i o. Michał niesamowicie zaimponowali mi swoją postawą, swoim wyjazdem daleko od domu by nieść Chrystusa, a także by polepszać codzienne życie tych, którzy zostali im powierzeni pod duszpasterską opiekę. Gdy dowiedziałem się o możliwości otrzymania relikwii II stopnia błogosławionych, bez wahania wysłałem o nie prośbę.

Jestem przekonany, że błogosławieni wspierają mnie w codzienności, często się do nich zwracam i widzę owoce ich działania w moim życiu. Ufam, że orędują za mną w niebie. Jest to dla mnie jasny przykład, że święci nie są niedostępnymi postaciami będącymi gdzieś wysoko „na chmurce”, a wzorami do naśladowania i osobami, które są naprawdę blisko nas, naszych spraw, nawet tych pozornie błahych i warto zwracać się do nich w każdej sprawie i wytworzyć z nimi autentyczną i bliską relację.

Trzecia droga



Bartłomiej
Wojnarowski

Papież 11 lipca 2017 roku wydał motu proprio, które wprowadza trzeci typ spraw beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych. Od tego momentu, oprócz heroiczności cnót (wyznawcy) i męczeństwa za wiarę (męczennicy) Kościół otworzył trzecią drogę: ofiara z życia. Dlaczego Franciszek podjął taką decyzję? I czy Kościołowi potrzebny jest rzeczywiście „nowy typ” błogosławionych i świętych?

W opublikowanym w lipcu ubiegłego roku liście apostolskim w formie motu proprio „Maiorem hac dilectionem” (Nikt nie ma większej miłości) papież Franciszek zdecydował się na odważny krok. W Kościele otworzyła się nowa droga na ołtarze: "dobrowolne oddanie życia z miłości". Aby proces był poprowadzony tym trybem musi zachodzić wyraźny związek pomiędzy oddaniem życia, a przedwczesną śmiercią. Ważne jest także wykazywanie się "cnotami chrześcijańskimi zanim odda się życie" oraz śmierć w opinii świętości. Oznacza to, że kandydat na ołtarze w wyniku ofiarnego czynu, uratowania kogoś, sam utraci życie.



źródło: wikicommons

Rewolucja czy ewolucja?

Motu proprio podaje 5 warunków, które muszą zostać spełnione, by sprawa została prowadzona wg kryteriów „ofiarowania życia”:

1 – dobrowolne i szczere ofiarowanie życia oraz heroiczna zgoda – motywowana miłością chrześcijańską – na pewną i mającą niebawem nastąpić śmierć;

2 – powiązanie między ofiarowaniem życia i nagłą śmiercią;

3 – praktykowanie, przynajmniej w stopniu zwyczajnym, cnót chrześcijańskich przed ofiarowaniem życia i później aż do śmierci;

4 – istnienie opinii świętości i znaków, przynajmniej po śmierci;

5 – konieczność cudu do beatyfikacji, który nastąpił po śmierci sługi Bożego i za jego wstawiennictwem.

Jak widzimy 3 z 5 warunków są znane jeśli chodzi o procesy wyznawców - a mianowicie: praktykowanie cnót, opinia świętości oraz konieczność cudu (którego nie ma w wypadku męczenników). Motu proprio jest także pod względem prawnym dokumentem zmieniającym konstytucję apostolską *Divinus perfectionis* Magister z 1983 roku oraz normy uszczegóławiające. Franciszek zwrócił uwagę

na podział większe zaangażowanie lokalnych episkopatów w procesy oraz przypominał, że zabronione jest organizowanie mów pochwalnych czy nabożeństw ku czci sług Bożych, tym bardziej, gdy sugeruje swoistą „pewność” pozytywnego zakończenia procesu. Dokument stworzył więc szansę do wyklarowania się sytuacji i nie ryzykowania naginania, szczególnie definicji męczeństwa, kiedy okoliczności śmierci i motywacje sprawców nie były jasne.

Można więc zauważyć, że stworzenie trzeciej drogi spraw beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych połączyło warunki, stawiające wyznawcom z pewną motywacją, której podobne cechy występowały u męczenników. Cały dokument, powiązaniem z konstytucją apostolską Jana Pawła II i odniesieniami do obowiązującego prawa zdaje się bardziej ewolucją niż rewolucją. Jednak warto zadać pytanie, dlaczego papież Franciszek zdecydował się na tak odważny krok, który zmienia spojrzenie na wiele przyszłych procesów?

Nieszablonowe biografie

Żeby zrozumieć decyzję papieża, musimy wykonać pewien semantyczny krok w tył i wyjaśnić sobie czym jest męczeństwo. Jest to kwalifikacja typu spraw beatyfikacyjnych

i kanonizacyjnych, według której kandydat na ołtarze traci swoje życie z rąk napastnika/napastników nienawidzących wiary. W związku z tym, od wielu lat specyfika życiorysów wielu świętych kazała się zastanowić, do której z grup przypisać daną sprawę. Przychodzą mi na myśl przypadki spraw bł. Karola de Foucauld i św. Maksymiliana Marii Kolbego. Pierwszy z nich został zastrzelony przypadkowo przez 16 letniego chłopca 2 grudnia podczas oblężenia fortu. Nie ma tutaj mowy o męczeństwie, chociaż ludność

chrześcijańska w Algierii była prześladowana, to sprawca spowodował śmierć nieświadomie, ponadto nie uczynił tego z nienawiści do wiary. W przypadku św. Maksymiliana sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana. Franciszkanin został beatyfikowany jako wyznawca, ponieważ Kongregacja przyjęła „sztywną” definicję męczeństwa, uznając, że zakonnik wydał się na śmierć dobrowolnie, a nie był to bezpośredni atak ze strony oprawców. Sprawa, już za pontyfikatu papieża Jana Pawła II została prowadzona wg drogi męczeństwa.



Cela śmierci św. Maksymiliana Marii Kolbego w obozie koncentracyjnym Auschwitz

źródło: wikicommons

Tym razem uznano, że niemiecki nazizm jest bezbożnym systemem, który uderza w porządek moralny. W toku sprawy przyjęto znacznie szerszą definicję męczeństwa, postrzeganą jako krwawa ofiara z życia, pomimo, że o. Maksymilian znalazł się w bunkrze głodowym na własną prośbę, zgłaszając się za Franciszka Gajowniczka.

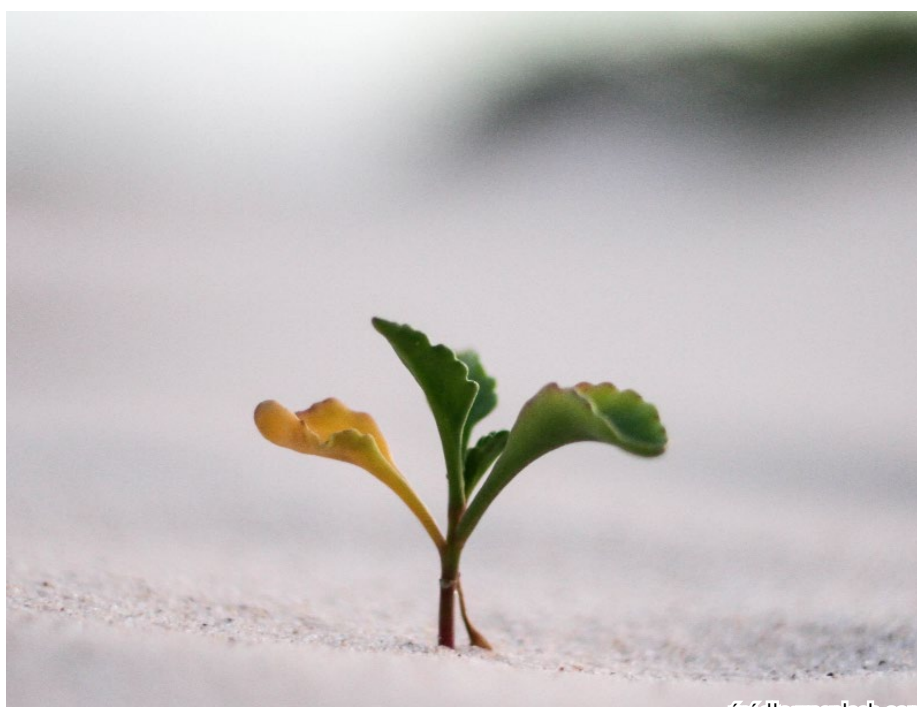
Dlatego jedną z motywacji papieża mogła być troska o to, by definicja męczeństwa była właściwa i nie trzeba byłoby jej dopasowywać do życiorysu świętego. Jednym słowem papieża mogły przekonać dziesiątki nieszablonowych biografii sług Bożych, które nie wpisują się w prosty schemat życia wyznawcy, ale jednocześnie nie są klasycznym męczeństwem. Dziś takie postaci jak bł. Karol czy św. Maksymilian, mogłyby być czczone jako osoby, które ofiarowały życie. Po drugie, co jest wyraźnym rysem pontyfikatu Franciszka, papież prawdopodobnie chciał zwrócić uwagę na ofiarniczość i rolę poświęcenia w życiu chrześcijańskim.

Ziarno pszenicy

Kto zatem w przyszłości mógłby dołączyć do grona sług Bożych, których procesy prowadzi się ścieżką „ofiarowania życia”? Według agencji Ansa jednym z takich przykładów może

być ciężarna kobieta, która oczekując narodzin dziecka, rezygnuje z kuracji, która mogłaby go zabić, poświęcając za to swoje życie. Jednak możemy przyjąć inne przykłady: może być to misjonarz, który zachoruje na dżumę i umrze, troszcząc się o chorych lub ratownik górski, który świadomy ryzyka, ratuje poszkodowanych, jednak sam ginie. Wreszcie, to może być

wej drogi procesów beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych nie wprowadzi rewolucji w liturgii, jak nowy kolor szat czy zmiana formuł modlitewnych, to administracyjna ewolucja prawa wzywa nas do jednego. Byśmy patrzyli na swoje życie jako na dar, który otrzymujemy z rąk Boga i umieli dzielić się nim z innymi. Bo tak, jak w życiu heroicznych uczniów Chrystusa,



źródło:unsplash.com

katolik, który pełniąc dzieła miłosierdzia traci życie, by chronić innych i nieść im Ewangelię. Co jasne, heroiczna śmierć powinna być poprzedzona przykładnym, chrześcijańskim życiem, ponieważ nie chodzi o promowanie brawury czy odwagi na pokaz, ale dojrzałego życia, którego zwieńczeniem może być heroiczna decyzja o złożeniu ofiary dla bliźnich.

Chociaż wprowadzenie no-

tak i w naszym ciągle aktualne, chociaż niełatwe, jest wezwanie Ewangelii: „Jeżeli ziarno pszenicy wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeśli obumrze, przynosi plon obfity” (J 12, 24). Oto logika chrześcijańska, która stoi w kontrze do logiki świata - oddać coś po ludzku najcenniejszego dla siebie, by móc wydać jeszcze większy plon.



źródło: pixabay

Przybici do klonowego Krzyża



Konrad Myszkowski

Kanadyjczyk to brodaty, uwielbiający syrop klonowy kibic hokeja. Kanadyjka to rodzaj łódki – choć jeśli się zastanowić, można tak określić również rodaczkę wyżej wymienionego. Kanada to kraj pełen lasów, łośi i zaśnieżonych połaci, położony daleko od Polski i – poza stosunkowo liczną Polonią – posiadający z naszą Ojczyzną mało wspólnego. Istnieje jednak kilka powodów, dla których warto pochylić się nad doniesieniami z Kraju Klonowego Liścia.

Zainteresowanie sytuacją Kościoła w poszczególnych krajach jest, ogólnie rzecz biorąc, całkiem zdrową cechą. Świadomość tego, jak się ma katolicyzm w różnych częściach globu, daje ogólny obraz sytuacji Winnicy Pańskiej i pomaga jeszcze lepiej wypełnić przykazanie

troski o wspólnotę Kościoła. Kanada jest pod tym względem interesująca ze względu na dosyć sporą i zróżnicowaną społeczność katolicką, stanowiącą niemal 40% populacji kraju. Zarówno historyczna, jak i współczesna obecność katolicyzmu nie powstrzymała jednak „po-

stępowych” ruchów i przemian, wskutek których rządona przez liberałów Kanada jest kojarzona raczej z awangardą rewolucji obyczajowej niż przywiązaniem do religii i tradycji. Jest to tym bardziej przykre, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu Kanadę postrzegano jako kraj

konserwatywny, z bardzo silną – zwłaszcza w niektórych regionach – pozycją Kościoła. Prześledzenie tych przemian ma więc również wartość praktyczną – może pomóc uniknąć kanadyjskich błędów w krajach silnie katolickich, takich jak np. Polska.

Czarne suknie i czerwony liść

Jakim właściwie krajem jest Kanada? Wpływ na współczesną sytuację państwa ma jego struktura polityczna, a także historia. Przede wszystkim Kanada nie jest państwem jednolitym, ale - podobnie jak potężny południowy sąsiad (USA) – federacją. Południowa Kanada jest podzielona na 10 silnie odrębnych prowincji, posiadających własne rządy i parlamenty i prowadzących w wielu aspektach (jak np. edukacja czy służba zdrowia) własną politykę wewnętrzną. Część północna, zamieszkała przez niecałe 0.5% całkowitej populacji kraju, została z kolei podzielona na 3 terytoria (Nunavut, Terytoria Północno-Zachodnie, Yukon) będące jednostkami mniej niezależnymi od rządu federalnego. Ogólnie współczesny kształt i ustrój Kanady jest wypadkową procesów związanych z europejską kolonizacją, rozpoczętą wkrótce po

podróży Kolumba z 1492 r. Na północy kontynentu od początku wieku XV ścierały się wpływy francuskie i brytyjskie, czego symbolem są postaci dwóch pierwszych żeglarzy badających ziemie późniejszej Kanady – występującego w imieniu Anglii Johna Cabota oraz Francuza Jacquesa Cartiera. Po dziś dzień Kanada posiada dwa języki urzędowe, angielski i francuski,

Commonwealth Realm, tj. uznaje za głowę państwa monarchę brytyjskiego, reprezentowanego przez gubernatora. W ten sposób obecnie głową Kanady jest królowa Elżbieta II, reprezentowana przez gubernator Julie Payette, a premier Kanady – Justin Trudeau – jest również jednym z doradców brytyjskiej monarchini.

Historia Kanady jest rów-



Widok na Quebec

źródło: pixabay

i jest zamieszkiwana w ponad 20% przez ludność francuskojęzyczną, której zdecydowana większość jest skupiona w prowincji Quebec. Jako byłe dominium brytyjskie, Kanada należy do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów; co więcej, podobnie jak np. Australia, Nowa Zelandia czy Jamajka, posiada status

niez silnie związana z działalnością Kościoła Katolickiego. Katolicy misjonarze towarzyszyli kolonizatorom od samego początku europejskiego osadnictwa w pierwszych dekadach XVII w. Najważniejszym przejawem aktywności misyjnej tamtych lat jest prowadzona przez Jezuitów akcja ewangelizacyj-

na wśród plemienia Huronów. Ukoronowaniem początkowego, całkiem udanego etapu misji była budowa w 1639 r. Kolonii pw. Najświętszej Maryi Panny wśród Huronów. Niestety, już dwa lata później ziemie spokojnie nastawionych Indian najechały plemiona z terenów położonych bardziej na północ, zjednoczone w tzw. Lidze Irokeckiej. Najazd, którego przyczyną było wyczerpanie naturalnych zasobów zwierzyny łownej, dał początek długoletniej wojnie, zwanej „wojną bobrową”. Ofiarą brutalnych ataków padali zarówno Huronowie, jak i mieszkający z nimi Jezuici. Misjonarze byli zresztą poddawani szczególnie wyszukany torturom – Irokezi oskarżali ich o przywleczenie z Europy zarasków nieznanych dotąd chorób, a Indianie szamani nazywali ich Czarnymi Sukniami i uważali za demony. Wymownym przykładem są tortury, jakim poddano św. św. Jana de Brebeuf i Gabriela Lallemanta w misji pw. św. Ignacego w marcu 1649 r. Zakonników przywiązano do pala, wyrwano im paznokcie, przypalano żywcem, a w oczy wbito rozgrzane węgle. Odwaga dwójki jezuitów zaimponowała przy tym Irokezom do tego stopnia, że po egzekucji postanowili oni zjeść ich serca. Św. św. Jan i Gabriel należą do grupy ośmiu męczenników kanadyjskich, beatyfikowanych w 1922

r. i kanonizowanych 8 lat później przez papieża Piusa XI.

Działalność Kościoła napotykała na znaczne trudności również na obszarach już skolonizowanych. Nieporozumienia pomiędzy ludnością frankofońską (potomkowie Francuzów, posługujący się językiem francuskim) a anglofońską uwydatniły się również w sferze religijnej. Konflikt naznaczył kanadyjską politykę XIX w. – przykładowo, spór o finansowanie szkół katolickich z językiem francuskim ze środków publicznych doprowadził pod koniec tego wieku do kilkuletniego kryzysu politycznego w prowincji Manitoba. Co jednak najsmutniejsze, ze względu na zbieżność kultury i języka, katolicy znaleźli się w tym sporze po obu stronach. Po stronie anglofońskiej znaleźli się bowiem liczni katolicy z Irlandii (a także nieduże grupy katolików szkockich i angielskich), którzy otwarcie współpracowali ze wspólnotami protestanckimi. Pomimo podziału katolicy zawsze byli największą lub jedną z największych grup wyznaniowych, stanowiąc ok. 30-40% całego społeczeństwa Kanady. Współcześnie w Kanadzie zamieszkuje ponad 12,5 mln osób uznających się za katolików, co stanowi ponad 38% społeczeństwa. Największą populację katolicką posiadają prowincje Quebec i Ontario, co odpowiada

historycznemu umiejscowieniu katolickich Francuzów oraz Irlandczyków. Kościół jest podzielony na 52 diecezje, a posługę wśród wiernych sprawuje ok. 8000 kapłanów; ponadto funkcjonuje 8 eparchii i 2 egzarchaty kościołów wschodnich (w tym grekokatolicka archieparchia Winnipeg, zrzeszająca licznych emigrantów z Ukrainy, czy słowacka eparchia w Toronto). Niestety, statystyka liczebna Kościoła w Kanadzie nie przekłada się na intensywność praktyk religijnych. Współcześnie jedynie nieliczna część kanadyjskich katolików regularnie uczestniczy we mszy świętej i przystępuje do sakramentów. Większość chrześcijan – zarówno katolików, jak i protestantów – uznaje istnienie Boga, ale nie uważa religii za ważną część swojego życia. Ten trend – znany dobrze również z Europy zachodniej, a stawaący przede wszystkim pokłosie rewolucji seksualnej lat 60. XX w. – uwidacznia się również w decyzjach i poglądach politycznych.

Najstarsza wnuczka Kościola

Główną areną głębokich przemian, jakie zaszły w świadomości religijnej kanadyjskich katolików, był wspomniany już Quebec. Frankofońska prowincja, o której raz po raz robi się

głośno za sprawą tendencji separatystycznych, jest uważana za spadkobiercę Nowej Francji – kolonii założonej w początkach XVII w. przez Samuela de Champlaina. Zbudowane przez Champlaina miasto Quebec z czasem stało się stolicą olbrzymiego imperium kolonialnego, obejmującego półwysep Labrador, Akadię, obszar Wielkich Jezior oraz Luizjanę, sięgającą na południu do Zatoki Meksykańskiej. Nowa Francja przestała istnieć w 1763 r., kiedy to wskutek pokoju paryskiego, kończącego wojnę siedmioletnią, została podzielona pomiędzy Wielką Brytanię i Hiszpanię. Jeszcze w tym samym roku decyzją Brytyjczyków utworzona została prowincja Quebec, w której z czasem przywrócono francuski język urzędowy, system prawny oraz wolność religijną. 1 lipca 1867 r. Quebec wraz z Ontario, Nowym Brunswikiem i Nową Szkocją związały Konfederację Kanadyjską, która stała się trzonem współczesnej Kanady.

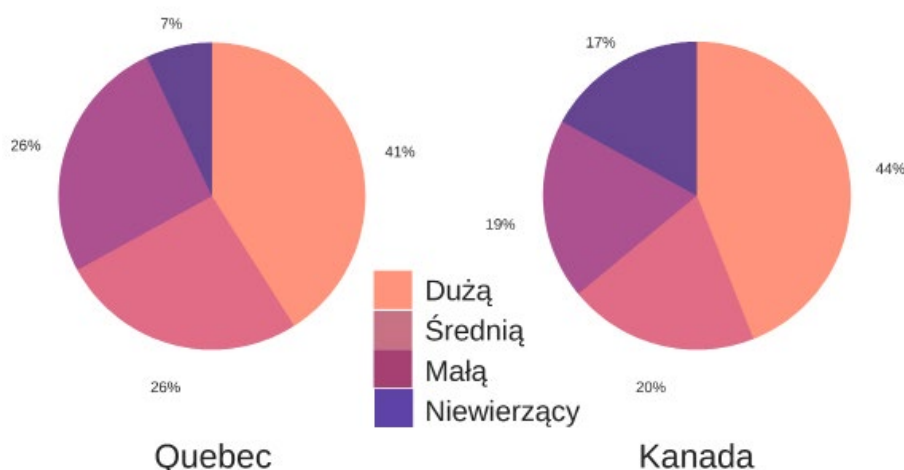
Okresem zwrotnym w historii prowincji był czas rządów Liberalnej Partii Quebecu w latach 1960-1966. Dokonane wówczas głębokie przemiany społeczno-religijne, nazywane „spokojną rewolucją” (*révolution tranquille*), wywarły ogromny wpływ na współczesną sytuację w prowincji. Liberalowie zwyciężyli w wyborach

rok po śmierci konserwatywnego premiera Maurice Duplessisa, którego 15-letnie rządy, nacechowane bezkompromisową obroną tradycji, rodziny i silnej pozycji Kościoła, zostały później określone przez lewicowców jako *le grande noirceur* (wielka ciemność). Po wyborczym zwycięstwie, odniesionym pod hasłami reform oraz pogłębiania autonomii Quebecu, liberałowie rozpoczęli realizację programu laicyzacji życia społecznego. Wprowadzono reformę edukacji, odbierając Kościołowi wpływ na szkoły państwowe, oraz szereg socjalistycznych rozwiązań gospodarczych. Na czas „spokojnej rewolucji” nałożyła się ogólnoswiatowa rewolucja obyczajowa, rozpoczęta w latach 60. w sąsiednim USA, a także związane z Soborem Watykańskim II zmiany w Kościele. Liberalna Partia Quebecu była mocno wspierana przez struktury partyjne na poziomie federalnym, a przemiany „spokojnej rewolucji” wywarły duży wpływ na politykę rządu federalnego w późniejszym okresie.

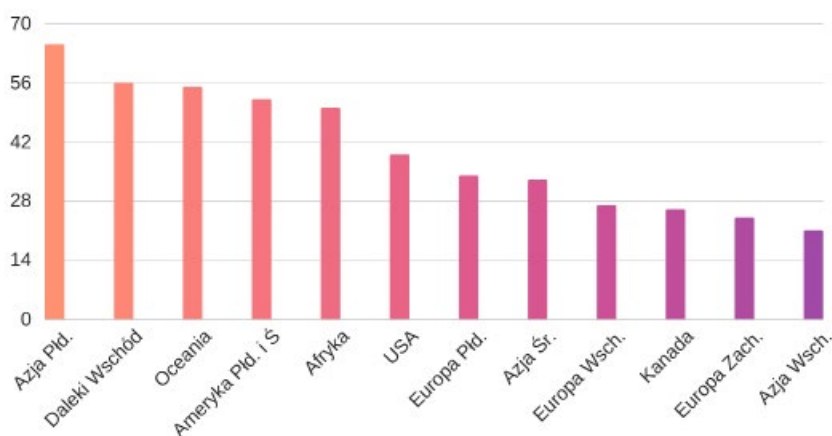
Współcześnie Quebec jest postrzegany jako prowincja mocno zsekularyzowana. Za katolików uważa się co prawda ponad 70% populacji, jednak – podobnie jak w całym kraju – dominuje tu luźne podejście do religii oraz brak zaangażowania w życie Kościoła. Wyludnienie

kościółów, spadek ilości powołań kapłańskich i zakonnych oraz zubożenie parafii to trend postępujący od lat 60. XX w., trudno więc nie powiązać go ze „spokojną rewolucją”. Według danych kanadyjskiego urzędu statystycznego (StatCan) liczba osób określających się jako „wierzące, ale nie praktykujące” rośnie w zastraszającym tempie (z 20% populacji w 1985 r. do 35% w 2004 r.) i jest obecnie wyższa niż średnia dla całego kraju. W 2002 r. zaledwie 43% Quebecois przyznawało, iż modli się przynajmniej raz w tygodniu, zaś 38% robiło to kilka razy w ciągu roku lub wcale; 26% uznawało religię za średnio ważny obszar swojego życia, a tyle samo za obszar niemający znaczenia. Zważywszy na trend oraz inne przemiany społeczne, obecnie statystyki te wyglądają zapewne znacznie gorzej. Quebec nie odstępuje również reszcie kraju w obszarze antykatolickiego prawodawstwa. Prowincja jako jedna z pierwszych – już w 1999 r. – zezwoliła na konkubinaty osób tej samej płci, a w 2004 r. zalegalizowała homoseksualne „małżeństwa” wraz z prawem do adopcji dzieci. W prowincji – podobnie jak w całym kraju – nie obowiązują również żadne restrykcje dotyczące aborcji. Niepokoi też wysokie poparcie dla „Karty Wartości Quebecu” – projektu

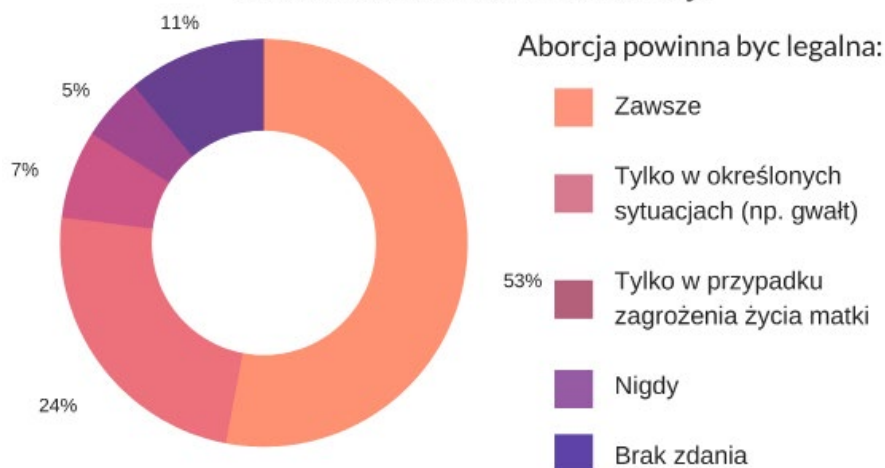
Jaką rolę odgrywa w Twoim życiu religia?



Procent mieszkańców Kanady uważających się za osoby religijne wg miejsca urodzenia



Poglądy mieszkańców Kanady na ustawodawstwo dot. aborcji



Źródło: <https://www.ipsos.com/en-ca/news-polls/majority-continue-support-abortion-canada>, 2017

z 2013 r., zakazującego m.in. publicznego noszenia symboli religijnych.

W awangardzie rewolucji

Jak już wspomniałem, procesy zachodzące w Quebecu odwzorowują w pewien sposób tendencje obserwowane w całym kraju. Od kilkudziesięciu lat regularnie maleje liczba Kanadyjczyków będących osobami religijnymi. Co gorsza, najgorzej wypada pod tym względem młode pokolenie – w 2004 r. 30% Kanadyjczyków poniżej 30 roku życia deklarowało się jako niewierzący, a kolejne 23% jako wyznający jakąś religię, ale niepraktykujący. Co ciekawe, spadek poziomu religijności obserwuje się głównie w przypadku rodowitych Kanadyjczyków – w przypadku imigrantów poziom ten od około 30 lat jest stabilny i wynosi mniej więcej 35% niewierzących lub niepraktykujących. Może to oznaczać, iż problem leży rzeczywiście w samej Kanadzie, choć należy również wziąć pod uwagę fakt, iż statystyka ta uwzględnia również sporą liczbę imigrantów muzułmańskich. Doniesienia z Kanady – zwłaszcza ostatnie – muszą jednak budzić słuszny niepokój wśród katolików. Liczne profanacje, promocja ideologii gender, tysiące dzieci wychowywane w świetle prawa przez pary homoseksualne, kwitnący

przemysł aborcyjny czy przetrzymywanie w więzieniach niewinnych działaczy pro-life (Mary Wagner) - to tylko niektóre z nich. Przykładowo, ostatnimi czasy szerokim echem odbiła się sprawa przedwczesnego wypuszczenia na wolność Benjamina Levina - byłego wiceministra edukacji, odpowiedzialnego za przygotowanie skrajnie „postępowego” programu edukacji seksualnej dla dzieci, skazanego w 2015 r. za rozsyłanie pornografii dziecięcej.

Jak wspomniano, od listopada 2015 r. władzę w kraju sprawuje rząd uformowany przez Liberalną Partię Kanady na czele z premierem Justinem Trudeau. Sam premier to postać ciekawa i dobrze ogniskująca pewną duchową schizofrenię współczesnej Kanady. Młody Justin od początku wychowywał się w rodzinie przesiąkniętej wielką polityką - jego ojciec, Pierre, sprawował urząd premiera Kanady z krótką przerwą w latach 1969-1984. Rządy Pierre’a Trudeau, które przypadły na okres bezpośrednio po „spokojnej rewolucji” w Quebecu, przeszły do historii jako początek multikulturalizmu, stanowiącego wizytówkę dzisiejszej Kanady. Trudeau zalegalizował rozwody i aborcję, poparł ustawę znoszącą kary za homoseksualne stosunki, nie wprost popierał reżimy komunistyczne w róż-

nych krajach (np. Chiny, Kuba, Polska), a przy tym wszystkim wychowywał swoje dzieci po... katolicku. Mały Justin dorastał więc w domu, w którym często czytano Biblię i pilnowano niedzielnej mszy świętej, a w wieku 9 lat wziął razem z ojcem udział w audiencji u papieża Jana Pawła II. Po śmierci ojca w 2000 r. Justin zaangażował się w działalność polityczną. W 2001 r. był twarzą komitetu organizacyjnego Światowych Dni Młodzieży w Toronto, a w latach kolejnych rozwijał swoją karierę, szczególnie chętnie występując w szkołach i wspólnotach katolickich. Niestety, od początku jego prywatna religijność (której przejawem miał być m.in. ślub kościelny) nie szła w parze z głoszonymi poglądami i podejmowanymi działaniami. Justin Trudeau dał się poznać jako zwolennik liberalnego spojrzenia na sprawy obyczajowe, niejednokrotnie zajadłe atakując naukę Kościoła w tym obszarze. Jedną z jego pierwszych decyzji po objęciu szefostwa w Partii Liberalnej było usunięcie działaczy opowiadających się przeciwko aborcji. Działalność Trudeau nie spotkała się z wyraźnym protestem kanadyjskiego episkopatu - kilku przedstawicieli Kościoła udzieliło mu nawet publicznego poparcia, co niewątpliwie przyczyniło się do zwycięstwa w wyborach 2015 r. Poglądy Trudeau

znajdują również odbicie w jego rządach - wprowadzenie obowiązkowej edukacji seksualnej już od przedszkola, umożliwienie wyboru „płci nieokreślonej” w paszporcie, osobisty udział premiera w paradzie równości czy hojne finansowanie organizacji przeprowadzających aborcję to tylko niektóre tego przejawy. Przy tym wszystkim Trudeau deklaruje się wciąż jako katolik; w 2017 r. udał się nawet z wizytą do papieża Franciszka, aby osobiście zaprosić go do Kanady i prosić o... publiczne przeproszenie za przymuszanie kanadyjskich Indian do uczenia się w szkołach katolickich.

Szczególnie palącym problemem jest w Kanadzie aborcja. Kraj Klonowego Liścia jest jednym z nielicznych, w których nie istnieją w tym obszarze żadne regulacje prawne - jak już wspomniano, zakaz aborcji został zniesiony przez rząd Pierre’a Trudeau w 1969 r. Oznacza to, że aborcja jest legalna w dowolnym momencie ciąży bez względu na powód, przez co od 1969 r. w Kanadzie w świetle prawa zamordowano już ponad 3 mln nienarodzonych dzieci. Obecnie w kraju dokonuje się przeciętnie 100 tys. aborcji rocznie, a wg przeprowadzonych w 2008 r. badań niemal połowa Kanadyjczyków popiera obecny stan prawny (dla porównania: ze zdaniem „aborcja powinna być

dozwolona tylko w celu ochrony życia kobiety” zgodziło się jedynie 7% respondentów). W Kanadzie funkcjonują silne ruchy pro-choice (Canadians for Choice, Canadian Abortion Rights Action League itp.), które - nie musząc już walczyć o zmiany w prawie - zabiegają o jak najszerszą państwową refundację aborcji (również tej dokonywanej „na życzenie”, bez wyraźnej przyczyny medycznej). W obronie życia walczy z kolei kilka ruchów pro-life (m.in. REAL Women of Canada, Campaign Life Coalition - wydawcy portalu lifesitenews.com); należy wspomnieć również o organizowanych co roku Marszach dla Życia. Ikoną kanadyjskiego ruchu pro-life jest bez wątpienia Mary Wagner, broniąca prawa człowieka do życia od poczęcia w klinikach aborcyjnych, gdzie cicho się modli, rozdaje róże napotkanym kobietom i proponuje im rozmowę na temat czynu, który zamierzają popełnić. Za swoją zupełnie niegroźną działalność Wagner już 5 razy została aresztowana, a w więzieniu spędziła łącznie ok. 5 lat. Za każdym razem w jej obronie płynęły głosy z całego świata - przy okazji poprzedniego procesu otrzymała w różnych formach ok. miliona listów poparcia, z czego znaczna część pochodziła z Polski. Problem nie jest jednostkowy - wśród szykanowanych przez

państwo kanadyjskich działaczy pro-life znajdziemy m.in. przyjaciółkę Mary - Lidię Gibbons, aresztowaną za trzymanie plakatu antyaborcyjnego w pobliżu kliniki aborcyjnej, a także kilka innych osób. Stopień degeneracji i niewrażliwości przedstawicieli władz doskonale obrazuje wymiana zdań pomiędzy Mary Wagner a sędzią Rickiem Libmanem, jaka miała miejsce podczas jednej z rozpraw w 2016 r. Gdy sędzia nie mógł zrozumieć, dlaczego Mary Wagner musi łamać prawo „aby dać wyraz swoim przekonaniom”, oskarżona stwierdziła: „Gdybym była posłuszna prawu, to dziecko dziś by nie żyło. Gdyby to nie była sprawa życia i śmierci, nie byłoby mnie tutaj”.

Podsumowując - Kanada w ciągu ostatnich dziesięcioleci doświadczyła moralnych i duchowych przemian, analogicznych do tych, jakie spotkały w tym czasie większość krajów zachodu. Nie ominęła jej rewolucja obyczajowa lat 60., a zapoczątkowane wówczas procesy doprowadziły kraj do miejsca w awangardzie światowej rewolucji liberalizmu. Obecnie Kanada posiada wyjątkowo liberalne światopoglądowo rozwiązania prawne oraz bardzo niski odsetek osób uważających religię za ważną sferę życia, przy czym w obu tych kwestiach wyróżnia się nawet na tle zsekula-

ryzowanej Europy Zachodniej czy reszty krajów rozwiniętych. W Kanadzie wciąż jednak mieszka i działa wielu ludzi przywiązanych do tradycyjnych wartości i katolicyzmu - to przedstawiciele Kościoła, organizacje pro-life a także wielu przedstawicieli Polonii. obrońcy życia, rodziny i Kościoła nie mają w Kraju Klonowego Liścia łatwo - jednak nawet ci, którzy jak Mary Wagner spędzają większość życia w więzieniu, nie poddają się w walce o lepszą Kanadę i lepszy świat. W nich należy upatrywać nadziei na odnowę moralną narodu kanadyjskiego, za nich należy się modlić, a także na różne możliwe sposoby (m.in. poprzez wysyłanie listów poparcia, co można uczynić przez Internet) im pomagać.

Jeśli w powyższym tekście znajduje się jakiekolwiek stwierdzenie sprzeczne z nauką Kościoła Katolickiego, natychmiast je odwołuję. Jeśli spodobał Ci się mój artykuł, napisz do mnie na konrad.myszkowski@adeste.eu





źródło: stocksnap.io

5 języków miłości



Mateusz Rezler

Przeszło co trzecie małżeństwo w Polsce się rozpada. Takie dane opublikował Główny Urząd Statystyczny za rok 2015. Niezbyt dobrze świadczy to o kondycji polskich relacji. Mimo usilnych starań rządu, 500+ i retorycznym bombardowaniu „wartością rodziny”, sytuacja nie wydaje się poprawiać. Proces ten wręcz z roku na rok się nasila. Co będzie za parę lat, Bóg jeden raczy wiedzieć. Warto podjąć jednak refleksję jaka jest tego wszystkiego przyczyna. Nietrudno wskazać na zabieganie, przepracowanie i permanentny stres jako korzenie kłótni, wypalenia czy zwyczajnych trudności w budowaniu więzi małżeńskich. Tu z pomocą przychodzi koncepcja amerykańskiego terapeuty Gary’ego Chapman’a wyrażona w książce pt. „5 języków miłości”.

Pierwszym krokiem jest wyobrażenie sobie pewnej analogii – ludzka psychika jest jak zbiornik. Możemy napętniać go, opróżniać, zaśmiecać lub uboga-

cać. Od nas i od naszych bliskich zależy, co z nim zrobimy. I tak pozytywne emocje z pewnością będą sprawiać, że nasz bukłak stanie się pełny słodkiego nek-

taru, za to kłótnie i wyzwiska sączyć będą jad do znajdującej się tam ambrozji. Najgorszą sytuacją będzie zaś obojętność – prawdziwa przeciwność miłości.

Ona to bowiem niczym dziura spowoduje wylanie całej zawartości na ziemię. Silnik zaś bez paliwa nie ruszy, tak samo jak i nasze serce. Potrzebujemy miłości jak powietrza, inaczej stajemy się cieniami, a nie ludźmi.

prostsze. W końcu nie chodzi tu o budowę silnika odrzutowego albo dywagacje o liczbach urojonych, a o budowanie relacji. Nietrudno wszak stwierdzić, że w głównej mierze kontakty międzyludzkie opierają się właśnie

ukochanej osobie, że rzeczywiście ją kochamy. Każdy będzie miał swój indywidualny dialekt, jednak autor, korzystając z wieloletniego doświadczenia w pomaganiu skonfliktowanym i rozpadającym się małżeństwom, zawęży spektrum do pięciu. Oto one!

Wyrażenia afirmatywne.

Łacińskie *affirmare* tłumaczy się jako potwierdzać, zapewniać. Tego typu wyrażenia będą więc okazywały drugiej osobie nasze uczucie. Chodzi tu przede wszystkim o słowa, którymi wyrażamy to, co leży nam rzeczywiście na sercu – a jest to przecież miłość! Jak wszystkie języki, działa on równie dobrze na mężczyzn, jak i na kobiety. Panie kochają, gdy mówi się im, jak bardzo są piękne, jak ślicznie wyglądają w nowej sukience albo jak do twarzy im w takiej, a nie innej fryzurze. Panowie zaś potrzebują pochwały za dzielne przybicie gwoźdźcia do ściany, wymienienie żarówki czy otrzymanie premii w pracy. W przypadku obu płci forma może się różnić, za to zasada pozostaje ta sama – warto chwalić współmałżonka, bo dzięki temu czuje się kochany! Nawet drobne słowo uznania czy zachęty potrafi odmienić ponury poranek we wspaniałe rozpoczynający się



źródło: stocksnap.io

Wizja roztoczona przez Chapman'a wydaje się na pierwszy rzut oka niezwykle uproszczona, ale przecież im idea mniej skomplikowana, tym też łatwiejsza do zastosowania w praktyce. W swojej dłużej karierze zawodowej autor światowego bestsellera sprzedanego w ponad 8 milionach egzemplarzy pokazuje, że aby coś mogło zadziałać w stosunku do naprawdę szerokiego grona odbiorców, musi być możliwie uniwersalne i jak naj-

na emocjach, rzadko kiedy wdajemy się z bliźnimi w filozoficzne dysputy.

Warto przejść więc do sposobu napełniania wspomnianego zbiornika. Jak się okazuje, wcale nie jest to takie proste. Tak jak nie wlejemy benzyny do baku na diesla, tak też nie każde działanie będzie pasowało do naszej drugiej połówki. Tu właśnie Chapman rozwija swoją myśl i przedstawia koncepcję pięciu języków miłości – sposobów, na jakie możemy pokazać



źródło: stocksnap.io

dzień. Jak się okazuje w praktyce, po latach szarej rzeczywistości i codziennej rutyny, w zabieganiu i ciągłym stresie, małżonkowie zwyczajnie nie mówią sobie czułych rzeczy. A przecież wystarczy tak niewiele!

Dobry czas

Możemy szeptać sobie czułe słówka, a i tak summa summarum nie czuć się kochani. Dlaczego? Jedną z możliwych przyczyn jest „nadawanie na innych falach”, czyli używanie innego języka miłości. Dla wielu osób kluczowe jest nie tyle mówienie i wypowiadanie słów, ile poświęcenie czasu i zwyczajne bycie z kimś, kogo kochamy. Albo w trakcie rozmowy, albo oglądania filmu, na wspólnej wycieczce czy wzajemnym

czytaniu książek na głos – dla tych osób najważniejszy będzie właśnie „dobry czas” – nie ważne w jaki sposób spędzony, ale zawsze razem, tylko we dwoje. W małżeństwie to nie lada wyzwanie – galopujące w jedną i drugą stronę dzieciaki potrafią nieźle zamieszać w poukładanym i systematycznym rozkładzie dnia. Ale od czego to nie są dziadkowie, rodzeństwo, przyjaciele, sąsiedzi, żeby choć na jeden wieczór zostawić pociechy pod ich opieką i wspólnie wybrać się na romantyczną kolację przy świecach?

Przyjmowanie podarunków

Nie zawsze będzie tak, że trafimy od razu w gust naszej drugiej połówki. Czy to rozmowa, czy wyszeptanie „jestem

z ciebie dumny” albo „świetnie dziś wyglądasz” – te sprawdzone sposoby znowuż nie muszą zadziałać. Każdy mówi innym językiem i to, co stosuje się do Kasi czy Basi, wcale nie będzie musiało być adekwatne w stosunku do Asi. A co jeśli osoba, którą kochamy, oczekuje od nas upominków jako wyrazu naszego oddania? Odpowiedź jest prosta – trzeba zamienić każdy miesiąc, tydzień, a może i dzień we wspomnienie świętego Mikołaja! Nie muszą to być od razu czerwone fury wyciągające 250 na godzinę czy platynowe pierścionki wysadzone brylantami (oczywiście jeśli Cię stać, to proszę bardzo!). Wystarczy kwiatek ze straganu, paczka krówek albo ulubione piwo. Nie trzeba się wykosztować, by sprawić przyjemność i napętnić tym samym zbiornik na miłość! Liczy się inwencja i pamięć o kochanej osobie!

Drobne przysługi

Mąż wraca wykończony z pracy, a Ty leżysz do góry brzuchem z dziećmi umorusanymi czekoladą? Żona po całonocnym karmieniu i usypianiu bobasa pada z nóg, a Ty oglądasz poranną retransmisję skoków Kamila Stocha? Dla niektórych nie będzie w tym nic zdrożnego, dla innych będzie to powód do rozbijania talerzy

i wyzywania od najgorszych. A to dlatego, że prawdopodobnie językiem miłości tych właśnie osób są drobne przysługi, co pokazuje, że wybadać siebie i małżonka co do jego ulubionego sposobu okazywania miłości można nie tylko na drodze pozytywnej – „co lubię”, ale i negatywnej – „czego nie lubię”. Wyręczenie kogoś, kogo kochamy, z codziennych obowiązków, choćby raz na jakiś czas, może naprawdę dużo wnieść w budowanie relacji. Zadanie pytania: „co mogę dla ciebie zrobić?”, a potem spełnienie tejże prośby z pewnością zaowocuje docenieniem i pogłębieniem wzajemnego uczucia. A podobno nic tak nie działa na kobiety jak widok męża zajmującego się nieporadnym maluszkiem!

Dotyk

Ostatni z języków miłości według Chapmana to dotyk (nie znaczy to, że jest najmniej ważny – kolejność w tym zestawieniu nie ma znaczenia). Dla niektórych to twardy orzech do zgryzienia. Jeśli w domu nie okazywano sobie uczuć poprzez przytulenie czy pocałunek, późniejsze zaspokajanie emocjonalnych potrzeb małżonka w takiej formie może być wysoce problematyczne czy nawet niekomfortowe. Trzymanie się za ręce dla jednych to oczywistość, dla innych prawie piekielne ka-



źródło: stocksnap.io

tusze. O czym warto pamiętać, a wiele par zapomina (zwłaszcza dotyczy to panów) – takie działanie w stosunku do współmałżonka nie ma mieć charakteru erotycznego. Oczywiście, może stanowić „grę wstępną”, ale swoją prawdziwą wartość ukazuje dopiero w oderwaniu od sfery seksualnej. Masaż rozluźniający spięte mięśnie, czuły całus na przywitaniu czy objęcie w chwilach smutku i zwątpienia może być jak *Merci* – znaczyć więcej niż tysiąc słów!

Koncepcja pięciu języków miłości potrafi naprawdę tchnąć nowe życie w związki dotknięte rutyną i nieczułością. Jesteśmy ludźmi i nie funkcjonujemy tylko i wyłącznie w sferze duchowej. Altruistyczne poświęcenie się dla drugiego i pokonywanie nawet największych słabości jest

wielce chwalebne, ale może nie wystarczyć, by zbudować szczęśliwe małżeństwo. Potrzebna jest także sfera fizyczna i emocjonalna. Ta ostatnia, często bagatelizowana („ach tam, wszystkie rachunki opłacone, dzieciaki w szkole z dobrymi ocenami, to o co mu/jej chodzi?!”) stanowi równie integralną część każdej relacji. Warto poświęcić chwilę, by zastanowić się, jak napełnić zbiornik na miłość drugiej połówki, a potem choćby w formie eksperymentu, przez tydzień lub dwa codziennie spełniać te miłosne uczynki. Czy się opłaca? A w co inwestować „na tym też padole”, jak nie w miłość? Tylko ona może nadać życiu prawdziwy smak i sprawić, że będzie nam się chciało codziennie wstawać z łóżka. Więc do dzieła! Kochajmy się!



źródło: pexels

„Cierpienia księdza Donissana”



Tomasz Kumięga

Świętość to pewien rodzaj ironii skierowany w stronę świata i zła, które choć stara się zabić świętego, nie może go pokonać. Świętość jest czymś, co drażni świat. Świętość to brzemię, które nie jest igraszką. Biedny, stary ksiądz Donissan dobrze o tym wiedział.

Kim jest ksiądz Donissan? To moje niedawne odkrycie będące przejawem kiedyś żywej jeszcze katolickiej kultury, która tworzyła piękną literaturę piórami swoich wiernych, jak i zagubionych dzieci. George Bernanos był jednym z nich. W swojej książce „Pod słońcem szatana” Bernanos kreuje postać wiejskiego księdza, niezbyt dobrze postrzeganego przez resztę kleru, niewykształconego,

z początku nieporadnego w kontaktach międzyludzkich, zamkniętego w sobie, jednak jego przełożeni widzieli w jego przesadnej pokorze głębię pokory, a w posłuszeństwie oraz wytrwałości w spełnianiu poleceń i prostoduszności swego powołania – świętość. Jedno, co z pewnością można powiedzieć o księdzu Donissanie to to, że prawdziwie brzydził się grzechem, choć dla samego

grzesznika starał się być dobrym i miłosiernym jak sam Bóg. Cóż po tym, jeśli dla siebie nie miał krzty miłosierdzia, osądzał się surowo, każdy objaw wewnętrznej radości uznając za szatańską pokusę. Podczas jednej z rozmów ze swoim proboszczem młody wtedy jeszcze ksiądz Donissan usłyszał słowa, które stały się dla niego swego rodzaju prorocstwem: „Świętość! (...) Wypowiadając to słowo

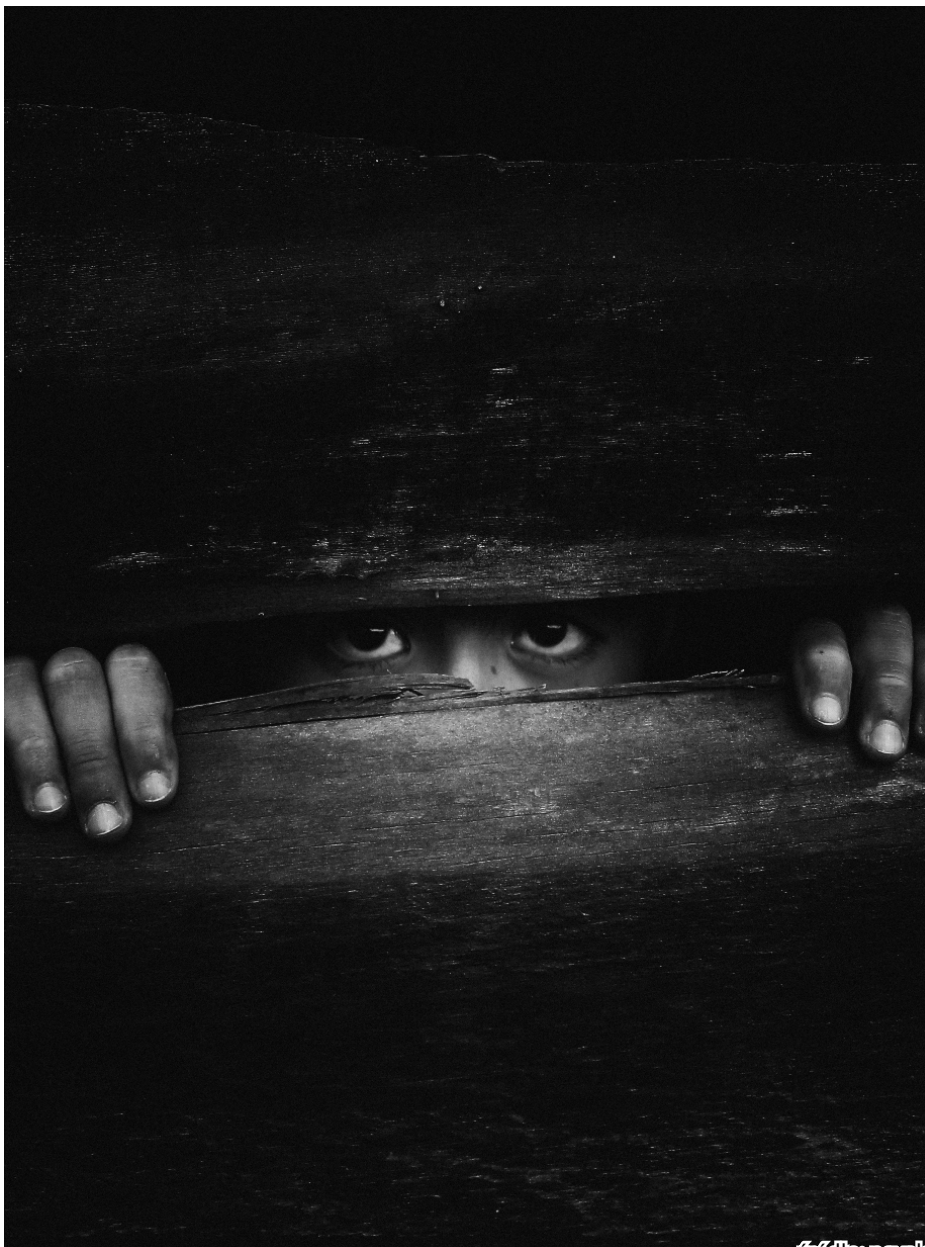
wobec księdza, tylko dla niego, wiem, jaką krzywdę mu czynię. Dobrze ksiądz wie, czym ona jest: to powołanie, wezwanie. Tam, gdzie Bóg na ciebie czeka, będziesz musiał, synu, wspinać, piąć się albo zgubić. Nie spodziewaj się żadnej ludzkiej pomocy, jesteś w zupełnym osamotnieniu, na wygnaniu, nie mającym kresu. Znikąd ukojenia, uspokojenia w straszliwej niepewności, w jakiej będziesz się szamotał do końca”.

Zgrzyt innej świętości

Mało kto by się spodziewał usłyszeć coś takiego. Czyż chrześcijanin nie powinien być jakimś mocarzem nadziei, czy nie powinien wobec grzechu stawać jak Dawid przed Goliatem? Przecież ten rudzielec z procą po ludzku nie miał szans na zwycięstwo. Trudno o nadzieję dla samego siebie, jeśli się ją poświęciło dla większego dobra. Co chcę przez to powiedzieć? Ksiądz Donissan pragnął tego, by Bóg odmówił mu zbawienia po to, żeby ci, którzy byli mu powierzeni, mogli go doświadczyć zamiast niego. „Lecz On się obarczył naszym cierpieniem, on dźwigał nasze bóleści, a myśmy Go za skazańca uznali, chłostanego przez Boga i zdeptanego. Lecz On był przebity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy. Spadła Nań chło-

sta zbawienna dla nas, a w Jego ranach jest nasze zdrowie” (Iz 53, 4). Jak czytamy w Piśmie Świętym, już sam Izajasz w postaci Sługi Jahwe, w której my odczytujemy Chrystusa, zawarł ideę człowieka cierpiącego nie-

Ksiądz Donissan w ten sposób w swej postawie, świadomie lub nie, upodabnia się do Chrystusa. I my czujemy ten zgrzyt, bo Bernanos postawą cierpiącego świętego, postacią mogącą uchodzić za szaloną, a o której



źródło: pexels

sprawiedliwe, ponieważ ten, będąc niewinnym, wziął winy nas grzeszników na siebie, żeby przebłagać Boga. Św. Paweł zaś mówi o Jezusie, że on wisząc na krzyżu sam stał się grzechem (2 Kor 5, 21) po to, aby nas zbawić.

świętości narrator jest tak dziwnie przekonany, uderza w cichy ton naszej duchowej dewocji. Krzyż często budzi sprzeciw u wielu. Staje się on wyrzutem sumienia, bo trudno jest nam się aż tak poświęcić dla zysku dru-

giego, a poza tym nieskalaność budzi odrazę u tego, kto ją utracił. Czujemy ból z tęsknoty za tym, co naprawdę piękne i wartościowe. Często nie dostrzegamy tego, jak moralność staje się czymś na wzór prawniczej dysputy na temat grzeszności tego czy tamtego czynu, a przestaje być okazywaniem miłości i znoszeniem przeciwności.

Dlaczego świat nie jest taki piękny?

Oduczyliśmy się kojarzenia cierpienia bezpośrednio z grzechem, cierpienie wydaje się nam bezsensowne albo nasuwa myśli buntujące się na fakt tego, co zdarzyło się w Auschwitz, na to, że kolejne dziecko urodziło się chore albo że ktoś zginął z powodu kataklizmu. Trudno jest oddzielić cierpienie od grzechu. Cierpienie przyszło wraz z odejściem człowieka z Edenu, a przyjściem na świat grzechu. My sami jesteśmy grzeszni, ale nie jesteśmy samym grzechem, nie można postawić znaku równości pomiędzy człowiekiem i grzesznym skalaniem. Grzech jest czymś, co jest w nas, ale jakby obok, na wzór drzazgi wbitej w palec. Doświadczamy cierpienia z powodu grzechu i to niekoniecznie tego, który my popełniliśmy. Cierpienie świadczy dobitnie o tym, że coś z tym światem, który nas otacza, jest

nie tak. Trzeba zauważyć także, że część zła jest wynikiem pierworodnej winy, która ciąży nad całym stworzeniem. Cierpienie czasem jest ogólną konsekwencją grzechu albo jest też jego wynikiem. Złe postępowanie musi sprawiać nam ból, ponieważ to ono nas ostrzega przed czymś gorszym, ale nie w każdej sytuacji jest ono grzeszne. Nie mycie zębów przecież nie jest żadnym grzechem, ale nie jest również dobrą rzeczą. Właściwie uformowane sumienie wyrzuca nam złe zachowanie, a nie zachowuje się jak małe dziecko szukające głupich wymówek, zwalając winę za zniszczoną zabawkę na kotka albo inne siły wyższe. Grzech jest naszą biedą, smutną niedolą, ponieważ jesteśmy targani namiętnościami, chcemy czegoś złego i jednocześnie z powodu wyrzutów sumienia staramy się wprawić siebie w niechęć wobec tego zła, innym razem naprawdę chcemy czegoś słusznie dobrego, lecz brakuje nam sił, by ten pozytywny zamiar zrealizować. Złe rzeczy mają tę samą siłę przyciągania co dobre, a niekiedy jesteśmy nimi tak zafascynowani, że potrafia pociągać bardziej niż dobro. Podstawową zasadą sumienia i moralności w ogóle jest prosta myśl: "czyń dobro, a zła unikaj", jednakże cierpienie wypacza tę optykę, w katuszach duszy i psychiki zaczynamy się

dopatrywać najwyższego dobra nie w Bogu, ale w tym, co nam zwyczajnie ulży. Cierpienie wykrzywia nasze spojrzenie nawet na samych siebie i jest to właśnie ten moment, w którym szatan cicho, ale skutecznie potrafi nas zaskoczyć i znieść, odbierając nam całą naszą nadzieję.

Ciemna noc grzechu

Na takiej granicy cierpienia znajdował się ksiądz Donissan, gdy idąc ciemną nocą, ciągle się gubiąc, spotyka tego, który już dawno trzymał go w szachu, a nie tego, którego spotykał św. Jan od Krzyża w swym cudownym poemacie. Ksiądz toczy z przeciwnikiem prawdziwą duchową walkę, pełną modlitwy i wytężenia woli, złudnie podobną do mistycznego kuszenia. Podczas swej osobistej bitwy z szatanem ksiądz otrzymuje dar jasnowidzenia, może niekiedy ujrzeć duszę napotkanego grzesznika tak, jak widzi ją sam Bóg. Sam zaś cierpiąc ma przynosić ulgę i miłosierdzie cierpiącym. Może dlatego narrator tak wierzy w świętość smutnego księdza, który choć skrupulatnie i z największą sumiennością doszukuje się w każdej duchowej pociesze podstępny jego największego wroga, do końca nie stracił nadziei. Mówi się, że pesymizm nie jest czymś chrześcijańskim, że chrześcija-



źródło: unsplash.com

nin powinien znosić swoje cierpienie, nie tracąc pogody ducha. Moim zdaniem istnieje pewien rodzaj pesymizmu mieszczący się w obrębie chrześcijaństwa. Jest to postawa, która cechuje się szczególną wrażliwością na grzech, choć nie można tego mylić ze skrupulanctwem. Wzrok we wszystkim grzechu nie jest oznaką prawidłowo prowadzonego życia wewnętrznego ani właściwością zdrowej ludzkiej psychiki. Ta wrażliwość przejawia się tym, że bardzo do-
tkliwie doświadczamy lub prze-
żywamy jego obecność w świecie, w naszych bliźnich, w tym, że widzimy każde jego pokłosie. Dostrzegamy ból w ludzkich oczach oraz smutne twarze i czujemy solidarność z nimi, bo

łączy nas nasza grzeszność. Odczuwamy także własną nędzę, to napięcie pomiędzy łaską Bożą a słabością, które niszczy rolę naszego powołania. Doświadczenie zniszczenia i połamania, którego hymnem może być psalm „De profundis”, ostatecznie przechodzący w okazanie wielkiej nadziei pokładanej w Bogu. Ta ostateczna nadzieja, bez której nie ma prawa być mowy o jakimkolwiek pesymizmie w katolicyzmie.

Trudne doświadczenie może nas zgnieść, ale nawet w tym mamy obowiązek szukać Boga, dlatego trzeba walczyć właśnie o nadzieję, która jest tą cnotą, która umacnia naszą cierpliwość i męstwo w znoszeniu utrapie-

nia. Nic nie może powstrzymać nadziei złożonej w Bogu. Oglądając ludzi złamanych przez życie dostrzeżemy tych, którzy ją utracili i takich, co ją zachowali i chyba wszystko w tym zależy od naszej postawy wobec Boga, która często jest roszczeniowa. Nie rozumiemy i nie zastanawiamy się na czym polega Boża łaskawość, a warto to kiedyś zrozumieć.

Ślepe oczy i ciężka praca

Jesteśmy nierzadko jak faryzeusze, którzy przychodzą do Jezusa i pytają: „»Rabbi, kto zgrzeszył, że się urodził niewidomym – on czy jego rodzice?«. Jezus odpowiedział: »Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, ale

[stało się tak], aby się na nim objawiły sprawy Boże» (J 9, 2b-3), bo nie rozumiemy tych spraw, buntujemy się i szukamy racjonalnego uzasadnienia i podtrzymywania naszej fałszywej opinii. Nie chcemy zaakceptować tego, że cierpienie po prostu jest obecne w świecie i że Bóg je dopuszcza na człowieka. Chcemy dobra i przyjemności teraz, a obecna kultura uczy nas tego szczególnie, że każdą przyjemność i ułatwienie mamy mieć na zawołanie. Wobec tego trudno jest nam przyjąć taką perspektywę, która wykracza poza nasze jednostkowe życie i jego czas. Bóg obejmuje całą rzeczywistość człowieka i świata, widzi nas w znacznie szerszym kontekście i to, co dla nas bezsensowne, u Niego takim być nie musi. Może on dostrzegać dobro, które wykiełkuje za kilka pokoleń. Możemy się burzyć na to, ale warto wspomnieć choćby o tym, że nawet nasi przodkowie walczący zaciekle o niepodległość rozumieli, czym jest dar z pracy i poświęcenia, którego owoców mogą sami nigdy nie doświadczyć, ale pragnęli szczerze, aby inni byli w stanie cieszyć się tym darem i kontynuować to dzieło, które oni zaczęli. Bóg też zaczyna taką pracę w nas już w momencie chrztu i jest z nami przez cały czas i działa nawet wtedy, gdy tego nie widzimy lub nie akceptujemy. Mało komu przychodzi z lekkością przyjąć

mozół, trud, poświęcenie, często też po prostu pasmo niepowodzeń, czego jednak doświadczamy na co dzień. Niekiedy gniewamy się na jej bezowocność, poświęcamy przecież nasz czas, zazwyczaj czemuś dobremu, a ta się nam nie odwdzięcza tak, jak planowaliśmy. Chcemy dobra i przyjemności teraz, a obecna kultura uczy nas tego szczególnie, że każdą przyjemność i ułatwienie mamy mieć na zawołanie. Wobec tego trudno jest nam przyjąć taką perspektywę, która wykracza poza nasze jednostkowe życie i jego czas. Bóg obejmuje całą rzeczywistość człowieka i świata, widzi nas w znacznie szerszym kontekście i to, co dla nas bezsensowne, u Niego takim być nie musi. Może on dostrzegać dobro, które wykiełkuje za kilka pokoleń. Możemy się burzyć na to, ale warto wspomnieć choćby o tym, że nawet nasi przodkowie walczący zaciekle o niepodległość rozumieli, czym jest dar z pracy i poświęcenia, którego owoców mogą sami nigdy nie doświadczyć, ale pragnęli szczerze, aby inni byli w stanie cieszyć się tym darem i kontynuować to dzieło, które oni zaczęli. Bóg też zaczyna taką pracę w nas już w momencie chrztu i jest z nami przez cały czas i działa nawet wtedy, gdy tego nie widzimy lub nie akceptujemy. Mało komu przychodzi z lekkością przyjąć

jakiś przykry dla nas w obecnej sytuacji wyrok Boży, a tym bardziej sensownie go wytłumaczyć. Jednocześnie ta potrzeba racjonalizacji cierpienia jest naszą bolączką. Sam doświadczam tego, jak nieraz potrafi być złudna uporczywa chęć zrozumienia własnego cierpienia, która szczerze mówiąc tylko je podsyci.

Jest ktoś obok, kto też cierpi

Cierpieć możemy z Bogiem, dobrowolnie poświęcając się dla Niego, albo bez Niego i to jest nasz wolny wybór. Choć rozrywa Mu serce, On go akceptuje. Bóg woła, a my nie musimy wcale odpowiadać, możemy iść dalej własną drogą. Tu także tkwi w nas to błędne przekonanie, że Bóg nas w jakiś sposób determinuje, że jesteśmy od Niego niewolniczo zależni, więc próbujemy przynajmniej na tej podstawie zrozumieć dlaczego stało się tak, a nie inaczej i ocenić słuszność naszego cierpienia na podstawie naszych domniemyanych win oraz dobrych uczynków. Bóg patrzy inaczej. Cierpiąc stajemy wobec tajemnicy, która jest nieprzenikniona. Któż jest na tyle mądry, by przeniknąć wszystkie sploty Bożego zamysłu i ludzkiej niezdolności do współdziałania z nim? Dlatego podziwiam takich śmiałków, którzy mimo wszystko z małego wycinka rzeczywi-

stości, który jest ich udziałem, próbują coś wróżyć o całości. W cierpieniu może się narodzić wspólna współpraca. Nikt nie wie, ilu wiernych ksiądz Donissan doprowadził do nieba, samemu będąc mężem boleści, ale trzymającym się blisko Boga. W pewnym momencie dowiadujemy się, że ksiądz miał zwyczaj po wieczornej mszy wystawiać Najświętszy Sakrament do adoracji, gdzie razem z nim czuwały najwierniejsze dusze. Cierpienie można zrozumieć, ale nie racjonalnie, cierpienie można zrozumieć tylko przyjmując je w modlitwie i powierzając Jemu, uznając własną słabość i zależność od Boga. Cierpienie może nauczyć miłości, bo odsłania przede wszystkim nasze wnętrza. Ile emocji i myśli budzi w nas udręka, ilu z nas samych nie zaczyna łkać, gdy odkrywają tę mroczną i zawistną, niesprawiedliwą i pyszną część własnej duszy. Modlitwa staje temu na przeciw, zbiera to wszystko i powierza Bogu, który przecież nas zna, który wie wszystko o naszym bólu i potrafi być wobec nas wyrozumiały i czuły jak nikt inny. Bóg wiszący na krzyżu jest Tym, w którym w obliczu cierpienia można się ze wzajemnością zakochać, gdzie choć niewymiernie, to jednak możemy współczuć Bogu. On poznał nasze cierpienie, jednak to, co wycierpiał, jest dla nas nieprze-

niknione. Możemy i powinniśmy jednak uczyć się empatii wobec Boga, bo to nam jej brakuje. Bóg przygarnia cierpiącego i grzesznego i sam uczy, byśmy do nich szli z miłosierdziem. Może właśnie dlatego, że wie, jak pod wpływem własnego cierpienia i egoizmu potrafimy być zatwardziali. Możemy sądzić, bo tego nie wiemy, że przyszedł proboszcz z Lumbres, jak zwykł określać narrator powieści księdza Donissana, w modlitwie odnajdywał pokrzepienie pozwalające mu przeżyć kolejny dzień w ufności do Boga. W cierpieniu znikąd, tylko z góry, możemy oczekiwać ratunku, bo nigdy nie jesteśmy osamotnieni, jeśli do końca wytrwamy w nadziei, jeśli nie tracimy zdolności dostrzegania Tego, który jest obok.

W tym całym bólu i utraconiu rodzi się świętość, która jest tak inna, niehagiograficzna, pełna namiętności, czasem pewnego rodzaju szaleństwa, bardzo intensywna, na krawędzi otchłani, pełna krzyku rozrywającego i krtań, i serce, wołania, które jest słyszane i nie pozostaje bez odpowiedzi, jeśli jest spokojne. Świętość jest niejako wrywana szatanowi i grzechowi, który chciałby ją ostatecznie podeptać, bo on sam w sobie jest cierpieniem, tęsknotą za utraconym darem, który my stale osiąść możemy, będąc przyja-

ciółmi Boga. Nie spodziewajmy się jednak płatków róż, lewitacji, ciepłych doświadczeń, radości, bo świętość to droga waleczna, w której pokój to nie sielanka, ale oczekiwanie na kolejny cios nieprzyjaciela, który krąży wokół nas jak lew. I chyba jest trochę tak, jak w modlitwie księdza Donissana przed swą śmiercią: „Każdy piękny żywot świadczy o Tobie, Panie; ale świadectwo świętego jest jakby wydarte żelazem”.



źródło: unsplash.com



źródło: unsplash.com

Islandzka droga do wyleczenia



Nina Kogut

Björk to artystka nietuzinkowa w pełnym tego słowa znaczeniu. Jest też w pewnym sensie znakiem rozpoznawczym Lodowej Wyspy, czyli Islandii. Jako kompozytorka najbardziej znana ze swojej solowej kariery, dała się poznać już w roku 1993, kiedy wydała swój pierwszy album zatytułowany po prostu „Debut”. Jej charakterystyczna barwa głosu, teledyski oraz nieco wycofane życie publiczne czynią ją niezwykle intrygującą oraz bardzo znaną, co dosyć kontrastuje z twórzoną przez nią muzyką. Pomimo że jest bardzo popularna, nie czerpie z tego jakichś szczególnych korzyści, nikomu nie sprzedaje też swojej prywatności. Jest też bardzo uważną obserwatorką najnowszych trendów w muzyce alternatywnej, zaprasza do współpracy młodych, utalentowanych, mało znanych muzyków, a następnie staje się producentką ich własnych albumów (było tak w przypadku artysty o pseudonimie scenicznym Arca).

Albumy Björk są z reguły koncepcyjne, co oznacza, że opowiadają jakąś historię bądź poruszają jeden temat. Szczególnie w początkowym okresie działalności dużą rolę w jej

muzyce odgrywały instrumenty smyczkowe połączone z elektroniką. Powracała jednak do tych elementów na swych późniejszych albumach, np. „Vulnikurze”, którą (obok następnej

chronologicznie „Utopii”) będę tutaj omawiać. Wspomniane przeze mnie albumy to dwie, jak na razie ostatnie, pozycje z dyskografii artystki. Traktują one o dość prozaicznym na pozór te-

macie, jakim jest nieszczęśliwa miłość i wszystko, co z nią związane. Utało się dość nieślusne stwierdzenie, że zawody miłosne to nie tematy dla poważnych artystów, a ludzie piszący na ten temat np. książki chcą w ten sposób w łatwy sposób zarobić dużo pieniędzy. Może i coś w tym jest. Tematy miłosne to raczej nasze „guilty pleasure”, czyli coś, do czego wstyd nam się przyznać, być może dlatego, że dotyczy to prawie w całości gatunku ludzkiego i ma związek z naszymi jeszcze zwierzęcymi instynktami. Dlaczego zatem tak poważna i szanowana artystka jak Björk wzięła się za temat miłości i cierpienia? Bo sama takie chwile przeżyła. Nie jest to jednak takie werterowskie narzekanie, gdyż „Vulnicura” jest albumem do bólu szczerym. Żal można dostać wszędzie. Jest to także bardzo osobisty zbiór, zdecydowanie nie nadaje się on do „słuchania w autobusie”.

Przed rozstaniem

7 pierwszych utworów na płycie ma dodany podtytuł „Before” bądź „After”. Odnoszą się one do czasu, kiedy powstały. Na początku opiszę 3 utwory mówiące o świadomości końca związku i o tym, że uczucie miłości łączące dwoje kochanków już się skończyło. Przy okazji pragnę zaznaczyć, że to nie bę-

dzie recenzja, dlatego nie omówię płyty pod wszelkimi możliwymi względami, skupię się głównie na warstwie tekstowej i poddam utwory pewnej próbie interpretacji. Zdaję sobie sprawę, że taka analiza może być za bardzo powierzchowna, ale wy-

ciowych („Show me emotional respect, oh respect”), choć na razie nie dopuszcza do siebie opcji, że to się może kiedyś zakończyć. Jednocześnie słuchacz może dowiedzieć się, że już wtedy dochodziło do nieporozumień między kochanka-



Björk podczas występu w Meksyku
(fot. Santiago Felipe)

źródło: wikicommons

ciąganie z tej płyty wszystkiego, co możliwe, nie jest moim celem, a i nawet nie starczyłoby na to wszystko miejsca. Wracając: album otwiera piękna ballada „Stonemilker”. Podmiot liryczny stawia tutaj pewne wymagania, mówi o potrzebach uczu-

mi („Moments of clarity are so rare/I better document them”). Jest to jak dla mnie wystarczająco wymowny znak, że coś już jest nie tak. W następnej piosence Björk zadaje pytania sama sobie, czy to na pewno ma sens. Prawdziwa świadomość nad-

chodzącego załamania przychodzi jednak w utworze „History Of Touches”, w którym artystka wspomina intymne chwile i nie boi się nawet używać wulgaryzmów.

Po rozstaniu

Symfonia smutku i cierpienia osiąga swoje apogeum w kolejnym, niemalże 10-minutowym utworze „Black Lake”. Tutaj artystka opisuje swój stan psychiczny za pomocą przegnębiających metafor. Rzuca także oskarżenia wobec byłego kochanka („Family was our mutual mission which you abandoned”). Słuchanie tego utworu za pierwszym razem było dla mnie męczące i myślę, że był to zabieg celowy. Słuchacz musiał w pełni utożsamić się z podmiotem lirycznym. Sama Björk przyznała w wywiadzie, że czuje się nim zażenowana i do dzisiaj nie jest w stanie wysłuchać go w całości. Powiedziała też, że można ten utwór porównać do sytuacji, kiedy ktoś wreszcie ma okazję powiedzieć to, co leży mu na sercu, ale nie wychodzi mu to z powodu wstydu. I faktycznie, na początku artystka śpiewa jakby z zaciśniętym gardłem, a utwór rozwija się z czasem. W kolejnych piosenkach następuje opamiętanie, Björk snuje refleksje na temat rodziny i metaforycznej rany na klatce piersiowej

w miejscu serca (symbol złamanego serca). Artystka dochodzi do wniosku, że obwinianie siebie i rozpamiętywanie smutnego wydarzenia jej nie uleczy. Martwi się także o swoją córkę. Warto zwrócić uwagę na oprawę muzyczną albumu. Dominują smyczki, które podkreślają dramatyzm sytuacji lirycznej, towarzyszy im elektronika.

Jak zapomnieć?

Ostatnie dwa utwory na krążku są jakby „z innej beczki”. „Mouth Mantra” opowiada o najbliższych czasach po tym, jak artystka przeszła operację strun głosowych i nie mogła mówić przez 3 dni. Ostatni zamykający utwór traktuje o śmierci matki Björk. Piosenka ma smutny tekst i kończy się niespodziewanie, co może symbolizować nagły koniec życia. Na uwagę zasługują także teledyski do poszczególnych utworów z płyty. Oddają ich klimat i tematykę, można interpretować je na wiele sposobów, do czego zresztą zachęcam. Także tytuł „Vulnicura” dosłownie oznacza „leczenie ran” (vulnus, cura).

„Za miliony cierpię i kocham”

Do przygotowywania następnego albumu Björk zabrała się od razu po premierze „Vul-

nicury”. Nosi on tytuł „Utopia”, a jego premiera miała miejsce w 2017 roku. Tematycznie stanowi opozycję do swojego poprzednika, ale jest też jego kontynuacją. Skomponowany w znacznie innej koncepcji, dominują tam flety, jest bardziej inspirowany naturą, w której nie mogło zabraknąć połączenia z elektroniką (Björk ponownie zaprosiła do współpracy Arcę). „Utopia” jest albumem bardziej awangardowym i jednocześnie najdłuższym w dyskografii artystki. Wiele pracy zostało włożone w budowanie klimatu. Tak jak „Vulnicura” mówiła o cierpieniu i smutku, tak głównym tematem „Utopii” jest miłość, zauroczenie, pierwsze wzajemne fascynacje połączone z uczuciem zadumy i tęsknoty. Utopią natomiast artystka nazywa stan, kiedy kochankowie razem spędzają czas, na przykład poprzez rozmowę, kiedy są razem szczęśliwi. Sama określiła swój najnowszy album jako „tinderowy”.

Przebaczenie (?)

Krążek otwiera utwór „Arisen My Senses”, w którym możemy się dowiedzieć, że podmiot liryczny poznał nowego przyjaciela. Bardziej poznajemy go w następnej piosence. Björk śpiewa o dzieleniu wspólnych pasji („Two music nerds obsessing” i „Sending each other MP-



Zdjęcie Björk z wczesnych lat jej występów (fot. Masao Nakagami)

źródło: wikicommons

3-s/Falling in love to a song"). W pewnym momencie odkrywa, że nowa znajomość na nowo nauczyła ją kochać i wyleczyła ranę, o której śpiewała w „Vulnicurze”. Zaczyna odczuwać... zauroczenie? Pyta samą siebie, czy potrafiłaby pokochać kogoś jeszcze raz. O tym opowiada intrygujący singiel „The Gate”. Stara rana na pierśsi przemieniła się w bramę,

przez którą przyjmuje i oddaje nowe uczucia do drugiej osoby. W tytułowym utworze albumu słyszymy dalszą radość z przebywania z kimś, w kim jesteśmy zauroczeni. Björk zachwyca się też naturą. W tle słyszymy przepięknie zaaranżowaną orkiestrę fletową i odgłosy wenezuelskich i islandzkich ptaków. Dowiadujemy się też, czym jest tytułowa utopia, przerywa ją jednak pa-

mięć ciała w kolejnym długim utworze „Body Memory”. Tutaj rozpoczyna się część, w której artystka rozlicza się z dawną, zakończoną już miłością.

Niezapomniane

W kolejnych kilku utworach podmiot liryczny wypomina błędy swojemu byłemu kochankowi, ma żal o pozew sądowy i kontynuuje bezpośrednio tematykę poprzedniego albumu. Ciężko w tych tekstach doszukać się miłości, znajdziemy raczej rozgoryczenie i próbę wyrzucenia z pamięci tamtych nieprzyjemnych chwil. Artystka ponownie pozwala sobie na wulgaryzmy, ponieważ inaczej nie jest w stanie określić emocji, które nią targają. Myślę, że wielu z nas spotkało się z podobną sytuacją, dlatego zwróćmy uwagę, jak pomimo swojej awangardy muzyka tworzona przez Björk może chwytać za serce i przemawiać do nas (o ile oczywiście wsłuchamy się w tekst). Nie uważam też wulgaryzmów za szczyt poetyckiej sztuki, miałam raczej na myśli to, że Björk nie zawsze używa zawoalowanego i trudnego języka poetyckiego, gdyż nie jest to konieczne.

Świetlana przyszłość

Dalsze utwory na płycie, poczynawszy od „Tabula Rasa”

poprzez instrumentalny przerywnik „Paradisio” aż do zamykającego krążek „Future Forever”, zdają się być adresowane do córki artystki. Björk prosi ją, aby nie powtarzała jej własnych błędów. Samej sobie uświadamia też, że nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość, lecz należy być do niej nastawionym optymistycznie. Z takim poczuciem artystka zostawia nas na koniec albumu. Tutaj

wartych w danych piosenkach. Szczególnie przypadł mi do gustu teledysk do utworu „Blissing Me”, w którym pani Brzoza tańczy i przy dźwiękach harfy delikatnym głosem wyśpiewuje historię o nowo rodzącym się uczuciu. Nie wykonuje tak ostrych i gwałtownych gestów przywodzących na myśl kłótnię jak w klipie do „Lionsong”, tutaj każdy ruch artystki wygląda jakby była delikatnie poruszana

Bałam się też samej Björk, zastanawiałam się, czy nie porywam się z motyką na słońce. Strach ma jednak wielkie oczy i myślę, że nie warto zamykać się na danego artystę czy gatunek muzyczny tylko dlatego, że się go boimy. Björk nie śpiewała przecież o tematach z kosmosu, ale o czymś, co wszyscy bardzo dobrze znamy. Każdy z nas przynajmniej raz w życiu zakochał się lub zauroczył. Może trochę mniejsza część z nas, ale mimo wszystko, przeżyła jakiś zawód miłosny. Uważam, że śpiewanie o miłości nie jest powodem do wstydu, sztuką jednak jest sposób, w jaki to robimy. W końcu o miłości śpiewa zarówno Björk, jak i wykonawcy gatunku disco polo, a jak wiemy, między nimi widnieje ogromna przepaść. Oczywiście rozumiem, jeżeli ten artykuł kogoś nie przekona do twórczości Björk, bo faktycznie jest ona specyficzna. Björk albo się lubi, albo nie, poza tym najnowsze albumy nie są najlepszym pomysłem na rozpoczęcie przygody z danym artystą, choć nie uogólniamy. Kogoś, kto po prostu nie trawi twórczości Islandki raczej nie przekona nowy jej album, bo trzeba mieć do niego czas, nastrój i serce. Jeżeli ktoś z Was pomyślał jednak inaczej, nie mogę pożyczyć niczego innego, jak tylko powodzenia i miłej lektury!



Krajobraz z teledysku do piosenki "Utopia"

źródło: youtube.com

chciałabym ponownie zachęcić Was, Czytelnicy, do zapoznania się z teledyskami promującymi najnowszy album Björk. Krąży popularny dowcip, że zostały nakręcone na jej rodzinnej planecie. Rzeczywiście, komputerowo wygenerowane krajobrazy oraz wizje utopii przywodzą na myśl widoki z jakiejś dalekiej rajskiej planety. Klipy wspólnie i bardzo metaforycznie opowiadają część historii za-

przez wiatr, zachowuje się jak aktorka wystawiająca monodramat w teatrze.

Happy End

Przyznam szczerze, że trochę bałam się tych albumów. Nie byłam pewna, czy jestem gotowa na taką dawkę ambitnej muzyki (bo nie oszukujmy się, niespełna 70 minut muzyki mogłoby niejednego wykończyć).

Gniew wobec Kościoła



Piotr Krajski

Długo się zastanawiałem jak zacząć ten tekst. Gdy temat stanowi wielka tragedia, słowa okazują się często niewystarczające. Z pomocą przychodzą obrazy. Film. A dokładnie dwa dzieła poruszające problem molestowania wśród osób duchownych. To temat mina, którą łatwo zdetonować skrywane emocje, gniew, ale także złe intencje.



źródło: wikicommons

W krzyku trudno usłyszeć ofiary, pochylić się nad nimi naprawdę ze zrozumieniem. W czasach ideologicznych konfliktów i medialnej sensacji oraz jawnej wrogości wobec Kościoła temat ten stał się wytrychem albo raczej łomem, którym próbuje się raczej burzyć niż odnawiać.

Z większą delikatnością podchodzą do tego tematu niektórzy twórcy filmowi. Mowa tu o Kalwarii z 2014 r. oraz Gniewie, który swoją premierę miał w styczniu tego roku. Obrazy niejednoznaczne, a jednak próbujące ukazać problem w sposób nieco inny niż znamy z medialnych przekazów. Oba rozgrywające się w Irlandii, bo to właśnie odkrycie nadużyć

seksualnych w archidiecezji dublińskiej stało się pewnym symbolem i zapoczątkowało temat na świecie, z którym musiał zmierzyć się za swojego pontyfikatu Benedykt XVI.

Gniew to film braci Shammaasian, choć w głównej mierze to tak naprawdę film scenarzysty Geoffa Thompsona. O jego historii warto jednak opowiedzieć nieco później.

Historia skupia się wokół Malky'iego (granego przez Orlando Bloom), robotnika w jednym z irlandzkich miasteczek, specjalisty od rozbiórek. Obserwujemy go w trakcie burzenia miejscowego kościoła. Ta jedna z pierwszych scen może budzić wrażenie zbyt oczywistej metafory, ale w całości filmu okazuje

się bardzo precyzyjnie przemysłanym wyborem. Stary kościół staje się w Gniewie symbolem podwójnym. Pusty kościół, który wydaje się nikomu niepotrzebnym, starym zabytkiem w kraju, który został schrzystianizowany już w V w. w miejscu, które zostało nazwane „wyspą świętych”. Z drugiej strony burzony kościół przez osobę, która wyładowuje w ten sposób agresję, odpowiada na swoje traumatyczne doświadczenie z przeszłości. Nie robi tego jednak w szalonej furii, ale metodycznie, w ramach robotniczej akcji, choć zapewne w nim samym gromadzą się ogromne emocje.

Nawet jeśli widz nie zna kontekstu historii, można zrozu-

mieć, że Malky'iemu jakieś wydarzenie z przeszłości nie daje spokoju. Sprawa staje się coraz bardziej wyraźna, gdy bohater dowiaduje się, że do miasteczka wraca ksiądz z jego parafii, w której służył w czasach dzieciństwa. Wtedy bohaterowi coraz trudniej kontrolować swoje emocje. Stajemy się świadkami jego zaburzeń i zastanawiamy

dza człowiek po odbiór krzyża. Malky wspina się na wysoką drabinę, odkręca gwoździe na dłoniach figury, a gdy gość proponuje mu pomoc, odpowiada agresywnie, bierze figurę Chrystusa na własne ramiona i zanoszą ją na pakę samochodu. Zdaje się, że bohater robi to z pewną delikatnością, a moment odkręcania gwoździ zdaje się

zrozumieć zachowania swojego chłopaka. Kiedyś Jo i Malky byli świadkami dużej bójki w jednym z pubów, włączyli się w obronę bitych. W ruch poszły także narzędzia do rozbiórki. Połała się krew. Jo miał w swoich dłoniach młot i gdy przyjeżdżała policja, wiedział, że na pewno trafi do więzienia, zostawił dzieci i żonę. Malky odebrał od niego młot i wyszedł do policjantów. Poświęcił się za Jo, wziął winę na siebie.

Matka wzbudza w nim poczucie winy, bo przez niego musiała się naciерpieć. Malky się nie tłumaczy, tak samo bierze winę na siebie ze względu na molestowanie z przeszłości. Czuje wstyd, czuje, że zawiódł rodzinę. Zwłaszcza, że matka nie uwierzyła w jego słowa, nie pomogła mu, gdy ten przyznał się do czego doszło, wszystko zanegowała.

Poznając historie Malky'iego trudno uwierzyć, że jeszcze potrafi funkcjonować. Wiemy, że kiedyś musi wybuchnąć, pytanie tylko, jaki to będzie wybuch.

Film braci Sahammasian okazuje się ostatecznie głęboko psychologiczną analizą traumy i próbą ukazania kolejnych etapów w wychodzeniu z fałszywego poczucia winy. Ukazuje drogę przejścia od braku akceptacji samego siebie do zrozumienia, że „demony, które trzeba wy-



Scena z filmu Gniew, Orlando Bloom jako Malky

źródło: "Gniew"

się co zrobi? Czy dokona zemsty?

Bohater na młocie do burzenia wycina własne imię i już możemy domyślić, co może się wydarzyć. A jednak twórcy nie serwują nam prostych rozwiązań. Wszystko się komplikuje, także dlatego, że sam bohater jest wewnętrznie rozdarty. Wiadać to chociażby w scenie, gdy do burzonego kościoła przyjeż-

odwróceniem sytuacji znanej z Pasji – danie ulgi w cierpieniu, potrzeba odpowiedzenia na poczucie winy, bo także z tym mierzy się bohater.

Postawa bohatera, jakby nadal związanego z Kościołem, choć wewnętrznie rozdarte go ujawnia się w historii jego przyjaciela z budowy Jo. Oповіда on ją dziewczynie Malky'iego, która także nie może



Scena z filmu Gniew, Charlie Creed-Miles jako Paul

źródło: "Gniew"

egzorcyzmować" nie są w nim, a w winnym, który dopuścił się tak wielkiej zbrodni. W ten sposób film z historii o zemście staje się historią o przebaczeniu.

Niezwykle istotne dla zrozumienia sytuacji bohatera w tym kontekście okazują się dwie sceny. Gdy bohater realnie myśli o zamordowaniu księdza, okalecza własną dłoń, tak dotkliwie, że może ją nawet stracić. Malky próbuje siłowo powstrzymać siebie przed zbrodnią. Działa destrukcyjnie, tak działa przez całe swoje dorosłe życie. Szarpie się z samym sobą, rani samego siebie.

Podczas jednej z rozmów

z Jo, Malky pyta swojego przyjaciela, czy nie myślał żeby nie robić czegoś innego w życiu, bo to, co robią to tylko burzenie, niszczenie. Praca Malky'ego odwzorowuje tak naprawdę jego stan, emocje, gniew, wrogość i poczucie winy, które nie budują, ale niszczą relacje, związek z dziewczyną, jego całe życie. Zemsta jest jak kula u dźwigu, jest jak młot w dłoni. Przynosi fałszywe ukojenie, wyładowuje gniew, ale potem pozostają tylko gruzy i ogłuszająca pustka.

Odpowiedzią staje się religia. Człowiek, który odbiera krzyż od Malky'iego - Paul okazuje się także ofiarą molestowania.

Dzieli się z bohaterem świadectwem i przekonuje go o tym, że zemsta nie jest rozwiązaniem, choć Paul nie wydaje się osobą, która w pełni poradziła sobie z przeszłością. Ukojenie znalazł on w słowach księdza, który przekonał go, że jego prześladowcę spotka kara w piekle. Zdaje się, że bohater znajduje pocieszenie w tym jednym fakcie. Żyje tym jak nadzieją zemsty, która choć nie należy do niego, wypełni się na sądzie ostatecznym.

Malky niedługo potem natrafia na cytat z Listu do Rzymian: "Do mnie należy pomsta, Ja wymierzam zapłatę - mówi



Scena z filmu Kalwaria, Brendan Gleeson jako Ojciec James, Kelly Reilly jako Fiona Lavelle

źródło: "Kalwaria"

Pan - ale: Jeżeli nieprzyjaciel twój cierpi głód - nakarm go. Jeżeli pragnie - napój go. Tak bowiem czyniąc, węgle żarzące zgromadzisz na jego głowę" (Rz 12, 19-20). Czy te słowa są dla Malky'iego tym, czym stała się nadzieja Pauliego, w którym nie wygasło pragnienie zemsty?

Odpowiedzi można szukać w świetnie zrealizowanej sekwencji pod koniec filmu. Malky wchodzi do konfesjonatu, w którym znajduje się jego prześladowca. Opowiada mu całą swoją historię, pełną bólu i niezrozumienia. Ale na koniec wybacza swojemu prześladowcy.

Gdy idzie ulicą na chwilę pojawia się muzyka, chyba po

raz pierwszy raz w filmie. Jakby pewien ład wrócił nie tylko w życiu bohatera, ale w całym świecie.

Ten obraz zaburza nieco ostatnia scena w filmie, która w sposób dosłowny interpretuje słowa z listu do Rzymian. Ksiądz sam wymierza sobie karę.

Jak zauważa o. Jacek Salij „żarzące kamienie na głowie” należy odczytywać w kontekście innych biblijnych tekstów jako ogień niszczący zło, nie zaś samego wroga czy winnego. Zdanie dalej samego listu do Rzymian brzmi zaś: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj”.

Na wątpliwości dotyczące zakończenia filmu może jed-

nak odpowiedzieć scenarzysta Gniewu. Scenariusz filmu został oparty na autentycznych wydarzeniach. Czasem oznacza to inspiracje wydarzeniem, które miało miejsce i które się zbadało, ale w tym przypadku scenarzysta Geoff Thompson oparł historię na własnym doświadczeniu. Był molestowany przez nauczyciela w wieku 11 lat. Tak jak bohater filmu spotkał swojego prześladowcę po latach. Wybaczył mu. Gdy po kilku latach nauczyciel się powiesił, ktoś zapytał go, co czuje. Odpowiedział: współczucie.

Dlaczego Thompson przeniósł wydarzenia na grunt kościelny? Być może nie chciał w sposób dosłowny przedsta-

wić swojej historii w długim metrażu, szukał więc metafory, a ponieważ jego historia opierała się na wybaczeniu, a nie zemście, przywodziła mu na myśl katolicyzm. Spowodować to także mogło nagłośnienie sprawy przypadków pedofilii po 2009 r. Powodem był także osobiste trafenie autora na fragment z Listu do Rzymian. Romans - tak brzmi oryginalny tytuł filmu, pokazując jak kluczową rolę spełnia w filmie list św. Pawła podkreślając także znaczenie okazania miłosierdzia wobec swoich prześladowców (w 2008 r. Thompson napisał scenariusz krótkometrażówki opartej na tej historii tytułując ją dokładnie Romans 12-20).

Drugi film Kalwaria w jakiś sposób przedstawia historię odwrotną niż w Gniewie. Tutaj film zaczyna się od sceny w konfesjonale. Tutaj ofiara nie przebacza, a zapowiada karę, choć planuje ją wymierzyć nie na swoim prześladowcy, a na niewinnym księdzu. Film Johna Michaela McDonagha staje się opowieścią z 7 dni proboszcza parafii w małej irlandzkiej miejscowości. Kolejne dni, które obserwujemy stanowią w ten sposób odliczanie do egzekucji. Po drodze obserwujemy także społeczność w jakiej żyje bohater. Widzimy tak naprawdę księdza w parafii bez parafian. Otaczają go ludzie obrażeni na Kościół, wrodzy jego

osobie, którzy na każdym kroku afiszują się ze swoim grzechem. Pozostaje pytanie, czy prowokują go jedynie z powodu zawiści, czy jest to rodzaj podświadomego wołania o pomoc? Próba zwrócenia na siebie uwagi?

Jedno jest pewne. W postaci osamotnionego proboszcza zostaje ukazany Kościół, który ponosi ofiarę za grzechy innych. Kościół, który zostaje odrzucony przez ludzi ze względu na własne cierpienie i poczucie, że życie nie ułożyło się po ich myśli. Choć nikt nie neguje winy księży, którzy dopuścili się zbrodni na dzieciach. Kościół w oczach niektórych staje się synonimem cierpienia, jakiego doświadczyli z różnych powodów.

Ksiądz znajduje porozumienie tylko z jedną osobą, kobietą spoza wioski, której mąż zginął w wypadku. Wypowiada ona znamienne słowa na temat ludzi, którzy z powodu cierpienia odchodzą od Boga: „Wiara nie może być mocna, jeżeli tak łatwo można ją stracić”, w przypadku własnej tragedii mówi, że nie jest niesprawiedliwa, a „wielu ludzi nie żyje dobrze, nie znają miłości, to jest niesprawiedliwość”.

W jednej z recenzji Gniewu padają znamienne zarzuty: film zamiast pokazać systemową winę Kościoła jako instytucji i współodpowiedzialność katolickiej społeczności, pokazuje historię na gruncie moralnym

i religijnym. Proponuje wybaczenie i pokazuje problem traumy, a powinien stanowić społeczny głos w krytyce Kościoła. Zapewne dlatego o Gniewie nie było zbyt głośno. Rozczarował tych, którzy chcieli widzieć w nim kolejną okazję do ataku na Kościół, nie ze względu na ofiary, ale ze względu na gniew i złe intencje, które przesłaniają zdolność do zrozumienia sytuacji.

Tekst warto zakończyć fragmentem listu Benedykta XVI skierowanego do katolików w Irlandii w 2010 r. Jakikolwiek komentarz do niego wydaje się zbędny:

„To zrozumiałe, że trudno wam przebaczyć lub pojednać się z Kościołem. W jego imieniu mówię, że wszyscy odczuwamy wstyd i wyrzuty sumienia. Jednocześnie proszę was, byście nie tracili nadziei. To we wspólnocie Kościoła spotykamy osobę Jezusa Chrystusa, który sam był ofiarą niesprawiedliwości i grzechu. Jak wy, On również nosi jeszcze rany, pozostawione przez niezastufione cierpienia (...). Głęboko wierzę w uzdrawiającą moc Jego ofiarnej miłości - także w sytuacjach najbardziej mrocznych i beznadziejnych - która przynosi wyzwolenie i obietnicę nowego początku” (List pasterski Papieża Benedykta XVI do katolików Irlandii).

Gry komputerowe – nowy nośnik kultury?



Michał Sadowski

W 2017 roku wartość globalnego rynku gier komputerowych wyniosła 116 mld dolarów, co oznacza wzrost o około 10,7 % rok do roku. W bieżącym roku CD Projekt, który stworzył niesamowicie udaną trylogię o przygodach białowłosego zabójcy potworów z Rivii, ma zadebiutować wśród dwudziestu największych spół-

ek notowanych na warszawskiej giełdzie papierów wartościowych. Ponadto grafika komputerowa pozwala na tworzenie obrazów i filmów łudząco podobnych do tego, co można uchwycić za pomocą kamery. Czy jednak gry komputerowe mogą stawiać przed graczami poważne pytania, być narzędziem promocji pewnych wartości lub przybliżać szerszej publiczności wyjątkowe postaci? Oto subiektywne zestawienie kilku najciekawszych produkcji, które graczom oferują coś więcej niż zwykłą rozrywkę.

Spec Ops: the Line

W grze tej gracz wciela się w dowódcę trzyosobowego oddziału komandosów wysłanych do zasypanego przez potężną burzę piaskową Dubaju, w którym zaginął oddział armii amerykańskiej. Z pozoru jest to jedna z wielu typowych strzelanek z perspektywy trzeciej osoby. Podczas rozgrywki protagoniści eliminują zastępy przeciwników, przeskakując od osłony do osłony, a momenty akcji przerywane

są scenkami na silniku gry, które wprowadzają gracza w fabułę. Jednak gra pod pewnymi względami odbiega od podobnych produkcji właśnie z powodu opowiedzianej historii. Szybko okazuje się, że nie jest to opowieść z gatunku tych, gdzie my to „ci dobrzy”, a tamci to „ci źli”.

Przechodząc grę, gracz widzi, że wojna to nie czas i miejsce dla bohaterów, okazja do zdobycia sławy i medali, lecz raczej rzeczywistość cierpienia i bólu najślabszych. Główny bohater

na naszych oczach brnie coraz bardziej w złe wybory moralne usprawiedliwiając to wszystko tym, że zmusił go do tego czarny charakter w tej opowieści. Finał gry pokazuje jednak, że niestety nie, co wydawało się jasne, tak naprawdę takim nie jest. W tej grze mamy zatem niesamowitą możliwość odzyskania do jądra ciemności, które tkwi w każdym człowieku, zaś przywołanie tu noweli Josepha Conrada nie jest przypadkowe.

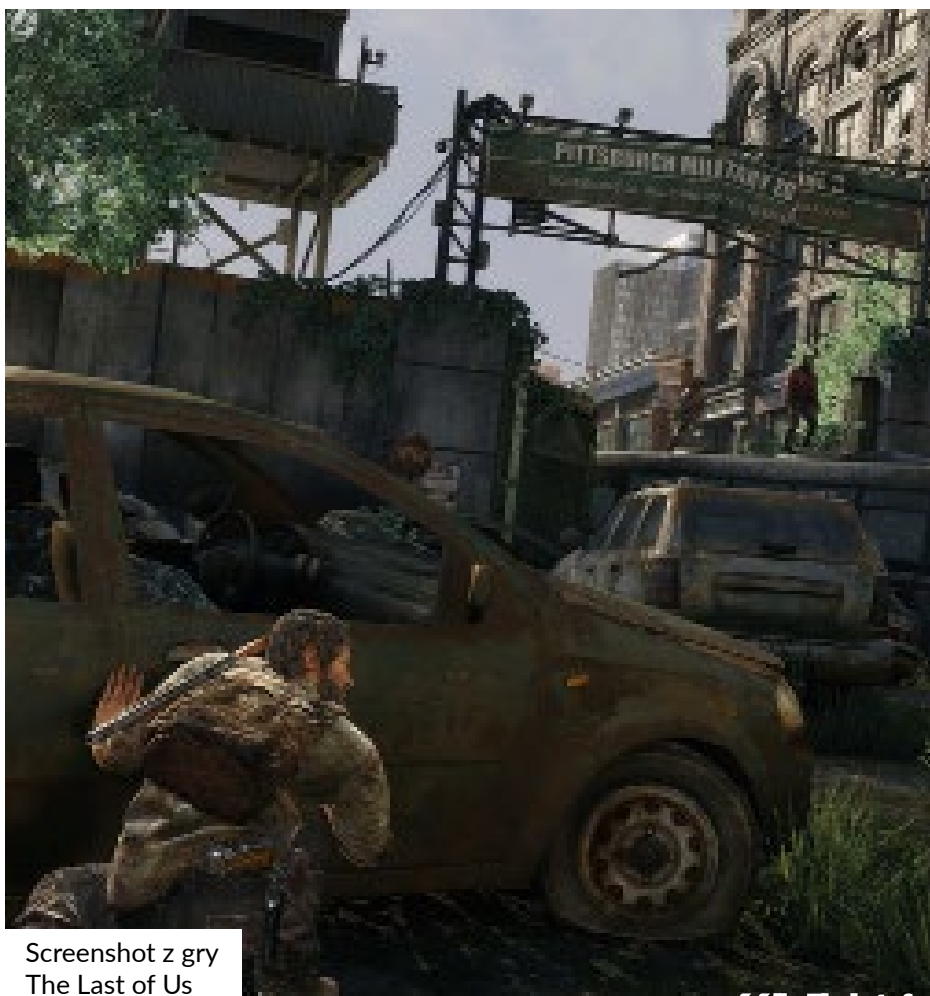


źródło: pixabay.com

The last of us

Gra podejmuje może już zbyt wyświechtany współcześnie motyw przetrwania człowieka w post-apokaliptycznym świecie. Zaczyna się mocnym uderzeniem, kiedy to na naszych oczach dzieje się katastrofa, która doprowadzi nieomal do zagłady rodzaju ludzkiego na ziemi. Największą wartością tej gry jest jednak kapitalne pokazanie zmian, jakie zaszły we wnętrzu głównego bohatera, który na samym początku traci swoją córkę a następnie musi poradzić sobie w świecie, gdzie śmierć czyha na każdym kroku. Gra nie jest wyłącznie czymś w rodzaju strzelanki z perspektywy trzeciej osoby, gdzie trzeba przetrwać eliminując tabuny zarażonych grzybem zamieniającym ludzi w krwiożercze bestie, a z drugiej strony walcząc z ludźmi, którzy ocalili i nie cofną się przed niczym, by przetrwać. W tak wrogim i niekorzystnym świecie główny bohater musi stawić czoła również własnej przeszłości.

Tym, co zmusza do przemyśleń, jest także sama kruchość egzystencji człowieka na ziemi. Wydaje się przecież, że jako gatunek dominujemy niepodzielnie nad naszą planetą, lecz tak naprawdę wystarczyłoby dość



Screenshot z gry
The Last of Us

źródło: The last of us

ślaba anomalia w przyrodzie, jak pojawienie się jakiegoś wirusa czy grzyba, który może doprowadzić ludzkość niemal na skraj wymarcia.

The Observer

Najnowsza gra w tym zestawieniu, a do tego produkcja polskiego dewelopera Bloober Team. Akcja tego horroru science-fiction dzieje się w niedalekiej przyszłości w Krakowie. Rzeczywistość, jaką rysują przed graczem twórcy, wydaje się spełnieniem najczarniejszych koszmarów rodem z „Roku 1984” Orwella. W wyniku wojny i zarazy w Polsce

przyszłości niepodzielna władzę sprawuje tajemnicza korporacja Chiron. Rozwój technologii pozwala na wgląd w umysł ludzki, czym zajmują się specjaliści policjanci znani jako observerzy. Ludzie dzięki wspomnianemu rozwojowi technologii mogą niemal bez ograniczeń zmieniać właściwości swojego ciała lub umysłu. Sceneria gry jest brudna, szara i ponura. Akcja toczy się na stosunkowo niewielkim obszarze. Wizja przyszłości nie napawa optymizmem, człowiek jest de facto niewolnikiem tego, co sam stworzył, a totalitarna władza Chironu doprowadziła do izolacji człowieka i poddania go totalnej kontroli.

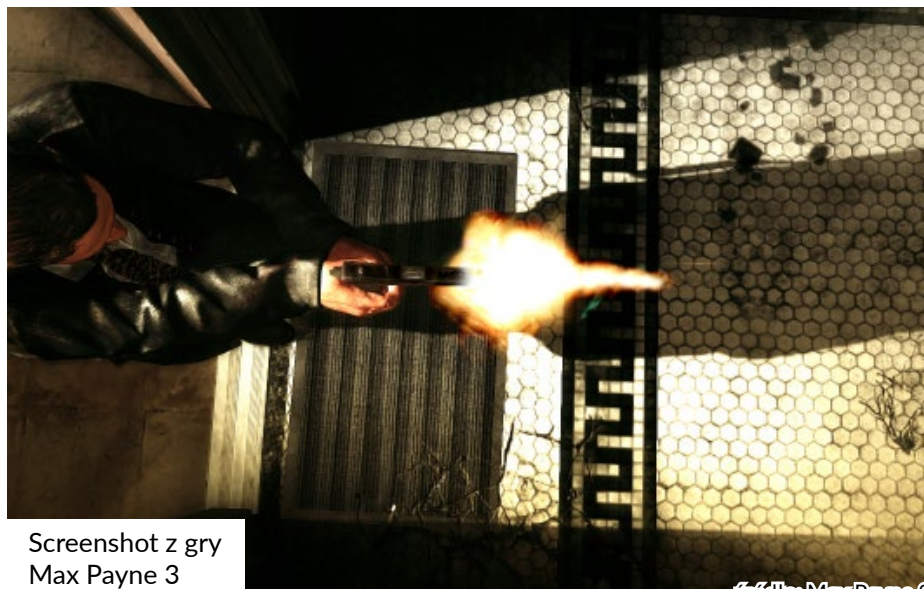
Główny bohater, szukając swego syna, hackuje nie-rzadko umysły zmarłych osób. Immersyjność doświadczenia podróży po wspomnieniach zmarłych wgniata w fotel. Zacziera się granica między prawdą a wytworem umysłu ludzkiego. Pomijając jednak główną opowieść gry, nie sposób jednak uciec od pytań o pewne granice człowieczeństwa. Bo przecież możliwość zastępowania lub ulepszania człowieka przez zdobyte techniki doprowadzić może do tego, że na końcu tej drogi z człowieka nie zostanie już zupełnie nic. Perspektywa taka nie napawa optymizmem i również dla teologii może być w przyszłości niemałym wyzwaniem.

The Walking Dead

Świat przedstawiony w tej grze przypomina ten z „The Last of Us” – gracz podobnie zmagając się ze skutkami apokalipsy i próbuje przetrwać, mimo wszystko zachowując człowieczeństwo. Nacisk postawiony jest jednak na więcej interakcji pomiędzy postaciami w grze, przygoda jest zdecydowanie bardziej nieliniowa, a wybory podejmowane przez gracza mogą mieć później bardzo ważne konsekwencje dla całej rozgrywki. W pierwszym sezonie gry główny bohater stara się opiekować małą dziewczynką, którą spotyka na swej drodze.

Gracz ma szansę wczuć się w wyjątkową relację pomiędzy tymi dwiema postaciami, zaś immersyjność doświadczenia sprawia, że finał pierwszego sezonu gry potrafi wycisnąć łzy niemal z każdego gracza.

Max Payne 3



Screenshot z gry Max Payne 3

źródło: Max Payne 3

Ostatnia część trylogii opowiadającej o życiu nowojorskiego policjanta podsumowuje historię, która na trwałe wpisała się w historię wirtualnej rozrywki. W tej grze Max wyrusza do Brazylii, by pracować jako ochroniarz bogatej rodziny. Nie wszystko jednak idzie zgodnie z planem i główny bohater zostaje uwikłany w historię znaną z niejednego filmu sensacyjnego. Gra bardzo dobrze oddaje to, czym jest społeczeństwo, w którym żyją obok siebie ludzie niesamowicie bogaci oraz biedni, skazani na życie w dziel-

nicach biedoty – fawelach. Mimo tego, że w grze trup ściele się gęsto, a główny bohater zachowuje się czasem jak typowa Mary Sue (czy też Gary Sue), kiedy to wychodzi cało z nie-ludzkich opresji, jest to świetna opowieść o tym, że męstwo jednego człowieka może pomóc zatryumfować dobru.

Słowem podsumowania

Gry komputerowe mogą, jak widać, być pełnowartościową strawą dla szukających dobrze opowiedzianej historii, a fakt, że mamy wpływ na losy kierowanych przez nas postaci sprawia, że przynajmniej pod tym względem wydają się być lepszą propozycją niż kino. Może to być przecież także świetne narzędzie, by upamiętniać ważne postaci i wydarzenia. Może kiedyś gry komputerowe staną się narzędziem polityki historycznej i kulturalnej?

